

ROLA

Rok VI.
Kraków, dnia 8 września 1912 r.
Nr. 36

TYGODNIK OBRAZKOWY NIEPOLITYCZNY KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Przedpłata: Rocznie w Austryi 4 korony, półrocznie 2 korony; — do Niemiec 5 marek; — do Francyi 7 franków; — do Ameryki 2 dolary. — Ogłoszenia po 30 halerzy za wiersz jednoszpaltowy. — Numer pojedynczy 10 halerzy; do nabycia w księgarniach i na większych dworcach kolejowych. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi: **Kraków, ulica św. Tomasza L. 32.** Listów nieopłaconych nie przyjmuje się. Godziny redakcyjne codziennie od godz. 5 do 6. Telefon nr. 2346.

Młodzież na »stancyach«.

Z każdym rokiem poczyna się coraz bardziej szerzyć oświata wśród ludu a chęć nauki ogarnia coraz szersze warstwy. Niejeden ojciec, który sam nie umie nawet czytać, pojmuje to dobrze, że jego syn nie może być takim nieukiem, jakim on był, i pragnie temu dziecięciu zapewnić większą garstkę wiedzy, dać mu większy zapas rozumu. Ponieważ zaś syn ma głowę nie od parady i w szkółce wiejskiej uczy się dobrze, przeto ojciec postanawia dać go do szkół, aby doczekać się z syna pociechy i moralnej i materyalnej.

Wskutek tego niema dziś prawie wioski, aby jeden przynajmniej chłopiec, jeżeli nie więcej, nie uczęszczał w większem mieście do gimnazyum. Tysiące ojców i matek marzy tylko o tem, kiedy nadejdzie ta chwila, gdy jej Jaś lub Staś ukończy szkoły i zostanie księdzem, albo choćby jakim innym »panem«.

Marzeń takich jest setki, tysiące... I nie jest to złą rzeczą, że tacy rodzice chcą zapewnić swemu synowi lepszą przyszłość. Nic dziwnego, że w marzeniach swych większość z nich widzi swoich synów obleczonych w suknię duchowną. Nic to dziwnego, bo każdy ojciec, każda matka pragnie, aby syn jej żył po bożemu, a że stan kapłański jest do tego najodpowiedniejszym, więc też każde z nich pragnie widzieć swe dziecię w tym stanie.

Takie życzenia ma większość rodziców, ale czy ta większość stara się o to, aby swym synom dać podstawy do osiągnięcia tego celu.

Nie wystarczy zapisać syna do gimnazyum, kupić mu potrzebne książki i mundurek, ale oddawszy syna do szkół, na inną rzecz trzeba koniecznie zwrócić uwagę.

Po największej części dzieje się tak, że ojciec przywozi syna do miasta i szuka mu »stancyi«, ale nie najodpowiedniejszej, ale najtańszej. Po długich szukaniach znajduje taką »stancyę« wprawdzie za niewielką opłatą, ale za to taką, która będzie miejscem zguby dla jego dziecięcia.

Na »stancyę« przyjmują uczniów osoby najróżniejszych gatunków a często zdarzają się wśród nich »wdowy«, które nigdy mężów nie miały, lub »panny«, których zajęciem jest panieństwo. Zdarzają się i inne, ale są i takie.

Na takiej »stancyi« nietylko, że chłopiec niema należytej opieki, że go tam nikt do nauki nie przynagla, ale często gęsto patrzy tylko na złe i sam zaraża się zepsuciem i zgnilizną. Chłopiec taki, pozostawiony sam sobie, narażony na złe wpływy złego otoczenia, poczyna z dniem każdym ostygać dla wiary świętej, poczyna lekceważyć modlitwę i Boga, a gdy gimnazyum przemęczy a dostanie się na uniwersytet, to tu, jako akademik, zwać się zaczyna »postępowym«, zaczyna urągać wierze i Bogu a chce zaprowadzić nowe porządki na świecie.

Dlatego też dzisiaj wśród młodzieży tylu niedowiarków, dlatego tyle ludzi obojętnych dla Boga. Młokos taki, wróciwszy do domu rodzicielskiego, często ojca znać nie chce, poniewiera nim i łzy gorzkie z óczu jego wyciska. A winny temu wszystkiemu przedewszystkiem złe »stancye«, na jakich synów naszych umieszczamy.

To też zanim kto pomyśli o oddaniu syna do szkół, niech pomyśli najpierw o dobrem, uczciwem mieszkaniu dla niego, bo inaczej tylko dziecię zmarnuje a siebie na zawód przykry narazi. Wiemy bowiem dobrze, że młody umysł, to jak ta gałązeczka u drzewa, która tak rośnie, jak się ją w młodości nagnie. Pamiętajmy więc o dzieciach naszych, które posyłamy na naukę do miast, aby one tam nabierały rzeczywistej oświaty a nie zgorszenia i zepsucia! Badajmy dobrze u jakich ludzi umieściliśmy dziecię nasze, aby potem nie żałować, że zamiast nauki wiarę utraciło.

Bolesław Zygmunt Gnoiński.

ROK 1813.

Z dziejów wojska polskiego.

II.

W tym dogorywającym stanie księstwa Warszawskiego, ogłoszono pospolite ruszenie, z którego zebrany żołnierz, częścią był przeznaczony do bronienia kraju, częścią zaś miał służyć do wyrównania braków w pułkach polskich, które teraz ciągle znajdowały się pod komendą księcia Józefa. Nie majac żadnych rozkazów od króla saskiego, ani od Napoleona, dokąd ma się udać z wojskiem, wódz polski, porozumiawszy się z księciem Szwarcenbergiem, postanowił ruszyć do Krakowa.

Dnia 5 lutego już od 7 rano powstał gorączkowy ruch w mieście, wszędzie po placach i na Polu Mokotowskiem kończono z pośpiechem segregacyę nowo zaciągniętego rekruta, a następnie o 11 przed południem, wojsko polskie stanęło w szyku pochodowym na Placu Saskim.

W tem z pośród starszyzny wyjeżdża na białym koniu wódz postawą piękny, i niby sokół srebrno-pióry rusza galopem ku frontowi, gdzie lekkim poruszane wiatrem szeleszczą sztandary.

— Baczność! — rozlega się komenda — prezentuj broń! — Brzękła stal dobytych palaszów. Książę wzniósł oczy w górę, a z ust jego popłynęły słowa przemowy, w czasie której, niejedna gorąca łza stoczyła się po policzkach słuchaczów.

— Wierzę, bracia moi — mówił książę w zakończeniu — że nie chęć zdobycia fortuny prowadzi was za mną, lecz miłość dla ojczyzny, a święte prawo jej bronienia.

Skończył książę mowę. »Amen« przemówili kapelanowie pułkowi, »Amen« powtórzył lud i wojsko, poczem rozległy się sygnały i w kolumnach plutonowych piechota, oraz kawalerya w szyku polowym, z muzyką na czele, ruszyły z miejsca, a w chwilę później zniknęły za rogatkami miasta.

Tak więc opuściło Warszawę wojsko polskie wraz z Radą ministrów, Radą generalną i komisarzem francuskim Ludwikiem Bignonem, mianowanym po ustąpieniu Pradt'a ministrem pełnomocnym francuskim przy rządzie Księstwa Warszawskiego.

Nie zapomniano także zaopatrzyć się w odpowiednie fundusze na cel tej podróży, dla opędzenia wydatków utrzymania wojska i rządu Księstwa.

Tymczasem generał rosyjski Korf zajął przedmieście Warszawy »Czyste«, pod Wolskiemi rogatkami, tegoż dnia generał austryacki Siegenthal, który miał w one czasy swą główną kwaterę w Faletach, zawiadomił prezydenta Warszawy, iż odezwy rosyjskie zapewniają mieszkańcom bezpieczeństwo osób i majątków, oraz utrzymanie władz krajowych, przyczem wzywa go, aby wpływem, a w ostateczności nawet siłą gwardyi miejskiej utrzymał porządek i spokojność publiczną, a także, aby wydał rozkaz wojskowym francuskim i sprzymierzeńcom tejże nocy opuszczenia miasta, w dniu następnym zaś aby wysłano deputacyę na spotkanie wchodzącego do Warszawy generała rosyjskiego. Jednocześnie z tym rozkazem miejscowe pisma publicznie ogłosiły list Siegenthala do generała Korfa, oświadczający, iż 7 lutego opuści z wojskiem Warszawę i jej przedmieście Pragę, a dlatego też poleca wspaniałomyślności rosyjskiego generała los rannych inwalidów, chorych Francuzów i sprzymierzeńców. Na skutek tego rozkazu prezydent miasta Warszawy uwiadomił ludność o mającym nastąpić wkroczeniu wojska rosyjskiego, nakazując jednocześnie pod karą surowej odpowiedzialności, aby wszelka broń, nawet zepsuta, zabrana przez mieszkańców z arsenału Pragi, tamże nazad była złożoną.

W tym prawie czasie cesarz Aleksander, przeszedłszy Wisłę pod Płockiem, zajął Kalisz, gdzie ustanowił rząd tymczasowy dla Księstwa Warszawskiego, czyli Radę najwyższą, w skład której weszli Rosyanie: Łańskoj otrzymując stopień prezesa i Nawosilców wiceprezesa. Reszta członków składała się z kilku Polaków, pomiędzy którymi był także książę Ksawery Lubecki.

Wojsko polskie, wychodzęc z Warszawy, nie miało zawczasu wytkniętej marszruty, musiało się bowiem kierować temi drogami, które przedstawiały możliwość pochodu, tak ze strony mogącego zastąpić mu nieprzyjaciela, jak i magazynów prowiantowych; poszło więc na Raszyn, Nadarzyn, Mszczonów, Rawę, Tomaszów, który prawie w ten czas powstał, założony przez Andrzeja hrabiego Ostrowskiego, Wolbórz, gdzie były dwa magazyny prowiantowe i trzy wielkie składy zboża, zbudowane i w ostatnich czasach Księstwa hojnie wspierane przez okolicznych obywateli — nareszcie przez Olkusz do Krakowa.

Temi drogami idąc, pochód wojska polskiego nie odbywał się forsownie, lecz w miarę następowania nieprzyjaciela, który stopniowo, za wyjątkiem twierdz, opanowywał całe Księstwo.

Gdy w Wolborzu pochód ten został ze względów strategicznych na kilka dni wstrzymany, urządzono tu naradę wojenną w pałacu biskupim, która zajęła się głównie sprawą twierdz: Zamościa i Modlina, a która wynikła wskutek zmiany sytuacyi w ostatnich dniach. Wynikiem tej narady zaszła potrzeba wysłania sztafety z wojska polskiego, któraby w te punkta jak najprędzej polecenia zawiozła.

Tegoż dnia, w którym odbyła się narada wojenna, o godzinie 2 w nocy do drzwi kwatery znanego nam z opowiadania porucznika, dość energicznie zapukano, a po otworzeniu ich do mieszkania weszła postać szeroko barczysta z długimi wąsami — wachmistrza.

— A Krawczyk, co tam u dyabła? nieprzyjaciel osacza? czy jak? mów prędzej — rzekł niespokojnie porucznik.

— Przedstawiam rozkaz pana pułkownika — odrzekł wachmistrz, podając porucznikowi pakiet zaopatrzony pieczęcią księcia Józefa, z adresem do komendanta twierdzy Zamościa i niewielką kopertę zaadresowaną do porucznika, w której się mieścił osobisty dla niego rozkaz, dotyczący możliwie spiesznego wręczenia pakietu Rady wojennej, komendatowi twierdzy w Zamościu. Do spełnienia tego rozkazu polecono porucznikowi wziąść z sobą dziesięciu ułanów 2 szwadronu i wachmistrza Krawczyka.

Była to jeszcze długa noc zimowa, a przytem dżdżysta i ciemna, choć oko wykol, podczas której dwanaście czarnych postaci przesunęło się po bruku miasteczka i niby jakieś tajemnicze duchy zniknęło w ciemnościach sąsiedniego lasu.

Ponieważ w tych stronach, którędy przejeżdżała sztafeta, nieprzyjaciela nie należało się jeszcze spodziewać, ten bowiem dopiero zdążył zająć Warszawę, przeto, tak porucznik, jak i jego podwładni, byli pewni, że żadna ważniejsza okoliczność nie zakłóci im spokoju. Zeledwie jednak znaleźli się na szerokim leśnym, trakcie prowadzącym do Opoczna, z daleka dał się słyszeć przeraźliwy, a daleko niesiony przez echo krzyk wzywający pomocy.

— Waszmość — przerwał milczenie Krawczyk — słychać, że głos woła ratunku, chyba chłopstwo,

powracające gdzieś z jarmarku, wzięło się za łby i słabsi, biorąc lanie od mocniejszych, tak wrzeszczą, czy zły błądzi po lesie i do błota wabi, nijak nie skalkuluję.

Porucznik, który jeszcze mniej był oznajmiony z tajemnicą lasu, odrzekł:

— Licho wie, w każdym razie głos biegnie jakoby z tej drogi, po której jedziemy; nie zawadzi zatem przyśpieszyć, by się przekonać.

Po tych słowach konie ruszyły dobrym galopem. W chwilę potem pędzącym dały się widzieć światła z kilku pochodni okrążające karetę, z której łatwo było rozróżnić, jak jacyś ludzie wyciągali dwie kobiety i szamotali się z dwoma mężczyznami, widocznie z woźnicą i panem; ten ostatni łącząc krzyk swój z piskiem kobiet, bronił się karabelą.

— Acha, rozumiem — mruknął do siebie porucznik, poczem zwracając się do wachmistrza, rzekł:

— Krawczyk, widzisz, co się święci?

— Tak jest, wasza mość, jakoby na obydwa oczy: kupa napadła na szlachtę — odparł wachmistrz.

— Otóż to właśnie, że kupa, ale nie wiadomo, jak liczna i jaką ma broń, należy przeto, myśląc o pomocy poszkodowanym, rozdzielić się na dwie części. Ja z pięcioma ułanami napadnę zbójów z nienacka, z lewej strony lasu, ty zaś bierz swoich pięciu i okrążaj z prawej, pamiętaj tylko dobrze skręcić w las i dopiero na mój strzał z pistoletu, atakuj, gdyż, jadąc drogą, mogliby rabusie umknąć bezkarnie, tem bardziej, że to noc — pośpiesznie rozkazywał porucznik, poczem obaj dowódzcy swych oddziałów zniknęli w lesie.

Napadnięci byli to obywatel ze wsi Starej: jego żona i córka, którzy właśnie, posłyszawszy, że wojsko polskie stoi w Wolborzu, dążyli spotkać tam kuzynów i znajomych.

Już był jeden ze zbójów rzemykiem pętał ręce pannie Zofii, a drugi po rozbrojeniu szlachcica imał ręką tłustego jego gardła, gdy w lesie huknął strzał, poczem jak huragan z obydwóch stron wypadli ułani.

— Na kolana psy! — wrzasnął porucznik.

Zjawienie się ułanów było tak niespodziane i komenda porucznika tak detonującym rozkazem, że nietylko rabusie, ale i napadnięci popadali na kolana.

Pierwszy przyszedł do równowagi obywatel, który, poprawiając pasa, z tryumfem zerwał się na nogi. Wachmistrza brała chęć wielka do bójki, stał przeto chwilę, jakoby namyślając się, co począć, poczem, zrobiwszy ruch bronią w stronę herszta, zapytał porucznika:

— Czy Wasza mość nie każe poczęstować zbójów ołowianemi śliwkami? Toć wszystko jedno, czy co z prochu powstało w proch się obróci, czy od prochu zginie.

— Zapewne masz zupełną racyę — odpowiedział młody oficer — ale to rzecz nie żołnierska, zdaniem mojem będzie najlepiej zabrać ich ze sobą i gdzieś po drodze oddać w ręce sprawiedliwości, a że czasu nie mamy, więc dalej w kupę drabów i marsz.

W chwilę potem dziesięciu rozbrojonych napastników, ustawieni parami i okrążeni żołnierzami z pokorą ruszyli z miejsca.

— I ja wracam do domu — odezwał się głos obywatela z karety — za nic sam nie pojadę, pojedziemy zatem razem, bo i mnie w tę stronę wypada.

Przy tych słowach wystraszony stangret, podzielając zdanie swego psna, huknął na konie, wykręcając karetą.

Wszystko tak szybko się stało, że nie było dotąd czasu, ani obywatelowi pomyśleć o podziękowaniu za ocalenie, ani też porucznikowi zapoznać się z nim, jego żoną, a nadewszystko z panną Zofią, która daleko na okolicę słynęła ze swej piękności. Obok zalet: regularnych rysów twarzy, pięknych, mądrze patrzących niebieskich oczu, i wspaniałej gibkiej jak młoda topola kibici, znaną była także ze stałego charakteru, a chociaż o talarach w posagu nie wiele wspominano, to jednak liczna młodzież ubiegała się o jej rękę. Co jednak począć, kiedy młoda Zośka marzyła o takim, któryby się jej podobał, a tu pomiędzy tymi, co się ubiegali o jej względy, wybór był trudny: pan rejent bowiem miał krótszą jedną nogę; syn sąsiada był trochę garbaty; brat proboszcza na wskróś przesiąkł ministranturą, a co gorsza, jedno jego oko rybie, a drugie piwne o białej brwi, nie dawały Zofii powodu do rozkochania się w nim i pomimo gotowizny, jaką posiadał, dała mu kosza.

Rok temu, wprawdzie, bawił w ich domu przez kilka dni jakiś młody wojak z Warszawy, który wywarł na niej dość miłe wrażenie, ale nieszczęście chciało, że trochę zapijał sprawę; przytem tak obębnił starego dziedzica na partyjce wista, że pomimo, iż gotów był każdego rywala, bruździącego mu w konkurach do Zofii, na drobną kaszę pałaszem pociąć, to przecież tak zbrzydł dziedzicowi, że wyrobił w nim niepochlebną opinię:

To też jak wyjeżdżał z koszem ów ułan oficer, uciecha poronionych już amantów do tego stopnia doszła, że jeden z nich, a mianowicie rejent, sporządził nieprawny akt, mocą którego dwa majątki ziemskie: Białobrzegi i Dębiany z rąk wdowy z sześciorgiem dzieci, po pułkowniku Kucharskim, przeszły w ręce byłego majątków tych dzierżawcy Andrzeja Pękalskiego, uprzednio mydlarza z Piotrkowa.

Trudno, mówiąc o roku 1813, ominąć te fakty, jakich po roku 1863 znalazłoby się więcej.

Otóż ciągnąc dalej opowiadanie, wracam na drogę leśną, po której toczy się karoca z obywatelstwem okrążona ułanami.

Kilka już razy dziedzic, spoglądając w otwarte okno swej karocy, oczekiwał chwili zbliżenia się porucznika na taką odległość, na jakiej mógłby mu podziękować za swe ocalenie.

Wreszcie, nie bez wpływu kobiet, kazał zatrzymać karocę, a wytoczywszy się z niej, skierował swe kroki ku nieopodal jadącemu boczną ścieżką porucznikowi.

— Panie poruczniku — rzekł z uprzejmością w głosie »mea maxima culpa«, że o długu wdzięczności dotychczas milczałem, ale w tej opresyi ze wszystkiem język mi zesztywniał, pozwól zatem złożyć ci uznanie, jako dzielnemu rycerzowi o szlachetnej duszy.

— Ależ nie czuję się godnym tak wielkich pochwał, jakiemi obdarzasz mnie Waćpan, spełniłem tylko czyn, który obowiązuje każdego żołnierza, broniącego granic kraju i spokojności jego mieszkańców.

— Niechże przynajmniej wiem, komu zawdzięczam z rodziną swe życie — mówił dalej szlachcic.

— Jestem Leszczyński, porucznik 6 pułku ułanów, zwanych Poznańczykami.

— O Chryste Jezusieńku! toć matka moja, świeć Panie nad jej duszą, z Leszczyńskich ród swój wywodziła. Z jakichże stron pochodzisz, panie poruczniku, czyli czasem nie z Poznańskiego?

— Tak jest — potwierdził porucznik, który widocznie, mając ważniejsze sprawy, zupełnie nad czem innem zastanawiał się, i zły był poniekąd, że czas marnuje, jadąc stępa, gdy tymczasem znacznie przybliżyłby się do celu podróży.

— A toć z tego widzę, że o miedzę w pokrewieństwie stoimy. O dalibóg, za nic nie pozwolę na to, żebym nie miał poznać krewniaka z rodziną moją.

— Masz dyable kaftan — rzekł półgłosem wachmistrz, widząc siadającego do karocy oficera — jeszcze gotów porucznika na jakie gody zwabić i z tego tylko będzie kram, że i sam Lucyper większego nie potrafi narobić. A jak jeszcze rozpatrzy się we wdziękach tej sikory, no to już może być, że sztafetę opóźni, a dopiero wtedy każe spinać konie ostrogami, żeby wyrobić stracony czas, a dopiero też będzie zły, jakbym wiedział, że i mnie się co od niego oberwie.

Tymczasem porucznik, siedząc w karecie, a rozmawiając ze swem towarzystwem, tak był niem zajęty, że na razie można było przypuszczać, iż nic nie ma na głowie, i że nie zwróci uwagi na wachmistrza, niepokojącego się coraz to więcej.

Piękne oczy panny Zofii oczarowały młodego wojaka. Pod ich wpływem i płynących słów z usteczek koralowych, porucznik zdradzał wielkie zainteresowanie się dziewczyną, co także spostrzegł i jej ojciec, a uważając zachowanie się młodego człowieka względem panny na wydaniu, jął wnet kalkulować sobie w głowie, czyby nie zdał się na zięcia. Chcąc przeto uprzednio wypróbować, czyli nie posiada wady ogólno ułańskiej, to jest czy nie lubi grywać w karty i zaglądać zbyt często do butelki, wtrącił się do rozmowy w te słowa:

— Ot, żeby tak czasu było więcej, zaprosiłbym waszmości na partyjkę wiścika, zazwyczaj należy do niej i nasz proboszcz, który przyznam, że grubo stawia, a na grze nie zna się wcale. — Wypowiedziawszy to, zaczął z uwagą śledzić minę porucznika i bacznie nadstawiać tego ucha, na które lepiej słyszał, aby nie opuścić zaciekawiającej go odpowiedzi. Porucznik jednak, spojrzawszy na niego bacznie, odpowiedział niechętnie a krótko, że wojakowi nie czas teraz zajmować się rozrywkami, kiedy ojczyzna w niebezpieczeństwie. Wogóle nie gra w karty i grę tę, a w szczególności na pieniądze grube, uważa za hazard, potępienia godny. Nie podobała się odpowiedź ta szlachcicowi. Pomyślał sobie, masz tobie, ten znowu zupełna niedołęga na tym punkcie, myślałem, że odpowie jakoś pośrednio, niby tak, jak to ja rozumiem: przegrać nie za wiele, wygrać nie za wiele, no i pić także nie za wiele. Na takiego właśnie zięcia dobry byłby rejent, tylko że za stary, no i ta krótsza noga trochę przeszkadza mu w podbojach miłosnych.

Przeciwne zapatrywanie wyraziły kobiety, podzielając w zupełności zdanie porucznika, co jeszcze bardziej zachmurzyło twarz szlachcica. Kryjąc niezadowolenie, wyjął on olbrzymią kolorową chustkę, którą miał wtedy zwyczaj wyciągać, gdy chodziło mu o podkreślenie jakiegoś argumentu, a zanurzając w niej nos, zauważył:

— E, moi państwo, powiem wam, iż w Piśmie Świętem cytowane jest, że Pan Bóg nie gniewał się na Noego za to, że głowę zaprószył, chociaż wszyscy Święci byli zdania, iż wypił za wiele, a cóż dopiero powiedzieć o zwyczajnym śmiertelniku, który wysuszy dno gąsiorka.

Tymczasem las się skończył, karoca wjechała na olbrzymią polankę, z boku której stała wioska.

— Oto i Stara, a tam, gdzie widać dworek w pośród topoli, to nasza chudoba — rzekł szlachcic zwracając się do porucznika i wskazując w stronę wsi.

Panna Zofia sama zajęła się śniadaniem, dziedzic zaś, oddawszy rabusiów w ręce straży złożonej z chłopów, udał się do stajni, aby tam wydać dyspozycyę karbowemu, co do miejsca na konie sztafety i wydanie im obroku.

Po śniadaniu, jak dziedzic tak i jego małżonka, oraz córka, udali się do swych codziennych zajęć, wskazując uprzednio pokój, w którym gość miał urządzić sobie drzemkę po bezsennie spędzonej nocy.

W chwili, kiedy porucznik zasnął snem twardym, przed karczmą w tejże wiosce, zatrzymała się bryczka, z której wysiadł jakiś jegomość, skierował się do wnętrza karczmy, poczem kazawszy arendarzowi zagrzać sobie piwa, wszedł z nim w rozmowę:

— Cóż arendarzu, dobre utargowanie macie z tego karczmiska?

— Gdzie tam dobre — odrzecze żyd — ludzie więcej się modlą, jak odwiedzają karczmę, a co lepszy gość, to do dworu wali.

— To ten wasz dziedzic musi być bardzo gościnny pan?

— Ny, co mnie przyjdzie z jego gościnności, dobrze każe sobie płacić, a lepszych kontmanów tak do siebie przynęcił, żebym widział kiedy od nich jaki złamany grosz, tobym się musiał przyglądać jak sroka w kość.

— A takich lepszych kontmanów dużo tędy przejeżdża?

— Ny, jak się zdarzy; teraz w ostatnich czasach to trochę więcej, bo jakieś wojaki, co stoją we dworze, złapnili wczorajszej nocy rabuśnika Pyzę, a przez tego, to się może niejeden nie będzie bał tym traktem jechać.

— A cóż to byli za wojacy? — ciekawie zapytał przybysz.

— Ny, ja nie wiem, ja ino tylko widziałem, że mieli takie długie szpikulce z chorągiewkiem i z rękiem trzymali piskulenty, przez tego widać, żeby Pyza nie uciekł.

Usłyszawszy te ostatnie słowa, nieznajomy pośpiesznie zapłacił żydowi za piwo, poczem wsiadł w swą brykę i zniknął w pobliskim lesie.

W niespełna pół godziny, niewiadomo skąd, na dziedziniec Starej wjechała sotnia kozaków, z których jedni, pozsiadawszy z koni, wpadli do stajni, inni zaś do dworu. Podniosła się wrzawa, szczekanie psów, krzyk wachmistrza, komenderującego: »Nie poddawaj się«, poczem w stajni wszystko ucichło i można było tylko zobaczyć, jak kozacy wyprowadzali konie ułanów, szykując się do odjazdu.

Inaczej rzecz się miała w pokojach dworu. Pierwszy kozak, który wszedł do pokoju porucznika, został ugodzony kulą pistoletową, drugi oberwał pałaszem po głowie, trzeci jednak z tyłu pochwycił porucznika, dając możność pozostałym towarzyszom związać mu ręce i nogi.

Przystąpiono do poszczególnej rewizyi całego dworu, a choć nie mówili, czego szukają, to przecież łatwo można było zrozumieć, że papierów, które wiózł porucznik, to jednak tak zostały gdzieś schowane, że pomimo, iż nawet zaglądano pod podłogę, nigdzie dostrzedz ich nie mogli.

W chwili napadu na dwór wystraszeni gospodarze skryli się w czworakach, pozostawiając chudobę swą na łasce nieproszonych gości. Tymczasem dalszy rezultat był taki, że związanego porucznika kozacy, z rozkazu komendanta sotni, przywiązali do konia i uprowadzili w lasy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

KOŚCIÓŁ NA SKALE.

Każdy z nas wie, że modlitwa czystego serca zbliża ku nam Boga, jedna go i umie wybłagać przebaczenie winy. A jaką siłę ma pacierz poranny w gronie dzieci, głośno przez ojca odmawiany, wiedzą ci, którym był tarczą od złego, broniącą przez całe życie. Wyżej ponad troski dziecięce wznosi się dusza każdego, gdy wśród kadzideł dymu, w blasku jarzących świec ukaże mu się Święty a Nieśmiertelny. Giną wtedy niechęci, gniewy, a cały tłum jest jakby jedną duszą, pogrążoną w zachwycie.

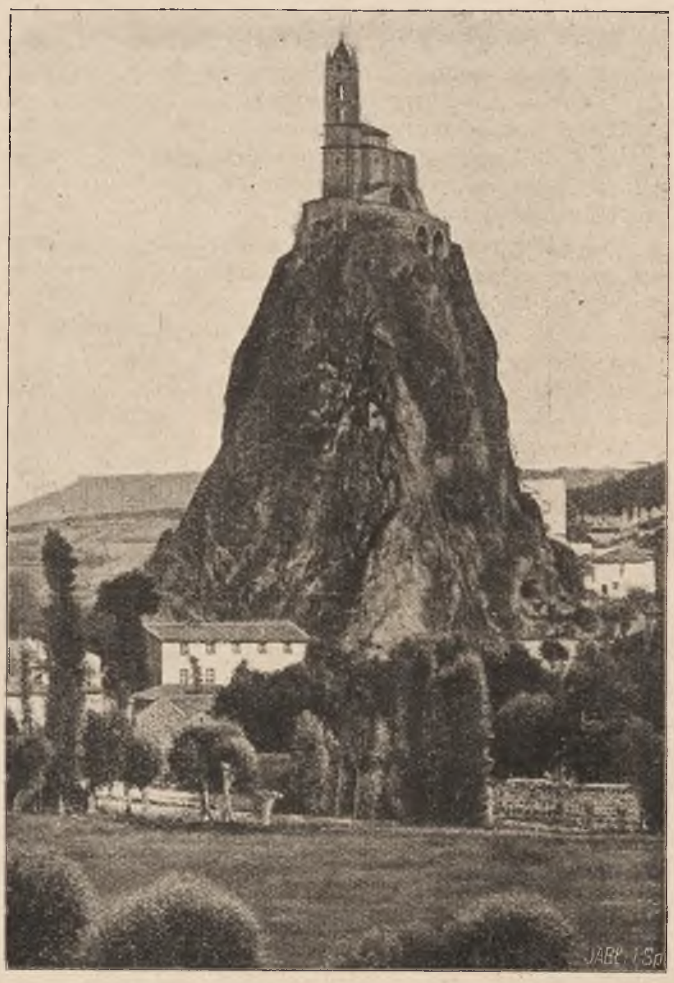
To też chcąc Bogu godne mieszkanie zbudować, a duszę swą choć na krótki czas od świata oderwać, budowali ludzie zawsze piękne kościoły, wybierając nań odpowiedne miejsca, piękne i ciche. Umieszczała też pobożność ludzi kościoły na wysokich górach i skałach, aby wznieść przybytek Boży, ponad mieszkania grzesznych i ułomnych ludzi, oddalić od tego co złe i powszednie.

Bo też mimowoli wznosimy oczy w górę, myśląc o Bogu, choć mieszkaniem Jego i morze i gwiazdy i serce czystego człowieka.

Jednym z najpiękniej na świecie położonych kościołów jest kościół św. Michała w mieście Le Puy we Francyi. Wznosi się na wysokiej górze nad rzeką i góruje nad całem miastem, jak to czytelnicy widzą dokładnie na naszym obrazku.

Jakiejże trzeba było pobożności, ile trudu i pracy, by na takiej skale kościół wybudować! Niedaleko od tego miejsca wznosi się wysoka góra, na której postawiono figurę Najświętszej Panny. Jest ona wielkości aż 16 metrów, żeby ją z dołu obaczyć można było. Kościół świętego Michała powstał w 10 wieku, a więc liczy blizko 1000 lat.

Do kościoła prowadzi stroma i dość niebezpieczna ścieżka, którą pobożni wychodzą na górę.



Korzyści siewu rzędowego.

»Jaki siew — taki plon«, mówi słusznie przysłowie, od dobrego bowiem zasiewu zależy w znacznej mierze powschodzenie i zakorzenienie się roślin, a tem samem wzrost i plony.

Aby nasienie wykiełkowało i wydało nową roślinę, musi otrzymać dogodne do tego warunki. Najważniejsze z nich są: dobrze wykształcony zarodek, odpowiednia wilgoć, ciepło i dopływ powietrza. Im lepsze będą te dane, tem rozwój rośliny silniejszy i owocniejszy.

Pod wpływem wilgoci i ciepła nasienie pęcznieje, skorupka pęka i kiełek, przebiwszy się przez warstwę ziemi, wydobywa się na zewnątrz, podczas gdy korzeń rośnie w dół. Do tych pierwszych objawów życia rośliny konieczne jest i świeże powietrze. Musi ono dopływać wszędzie, a więc i do korzonków, i dlatego rola powinna być przed siewem należycie spulchniona i mieć strukturę gruzełkowatą.

Zboże siejemy albo rzutowo (ręką), albo rzędowo (siewnikiem). Siew rzędowy jest znacznie korzystniejszy, niż rzutowy, a to z następujących powodów:

Ręką rzucone w ziemię ziarno nie może być równomiernie rozsiane i w jednem miejscu gromadzi się nasion więcej, w innem mniej. Aby ziarno wykiełkowało, musi być, dla uzyskania wilgoci i ciepła, schowane w ziemię, żadne atoli narzędzie (brona, pług) nie potrafił dobrze przykryć zasiewów.

Po bronie dużo ziarn zostaje na wierzchu, wiele znów bywa zbyt głęboko zagrzebanych. Ziarno na powierzchni ziemi staje się żerem ptaków. Nasienie, za głęboko umieszczone, nie może przebić się przez grubą warstwę ziemi i skutkiem tego nie wschodzi. Roślina zaś, której nasienie było przykryte zbyt płytko, narażona jest na wymarznięcie, spłukanie przez deszcz, lub na posuchę, gdyż korzenie, rozgałęzione tuż pod powierzchnią ziemi, nie mogą oprzeć się złym wpływom.

Tak więc z ziarna, wysianego ręką rzutowo, tylko mała część wschodzi prawidłowo, reszta ginie, lub wydaje rośliny nikłe. W jednem miejscu rośnie zboże za rzadko, w innem za gęsto. Jedno ziarno kiełkuje wcześniej, inne później. Nierówne wschodzenie powoduje następnie nierówny wzrost roślin, zabieranie światła i soków roślinom mniejszym przez większe, dalej nierówne kłosy, dużo ziarna pośledniego a mało dorodnego, zachwaszczenie zboża, i słomę rozmaitej grubości i długości.

Siew rzędowy usuwa wszelkie złe warunki rozwoju roślin.

Siewnik umieszcza ziarno w rzędach równo od siebie oddalonych i w głębości takiej, jaka jest najlepsza dla danego nasienia. Skutkiem tego zboże rzędowo zasiane równocześnie kiełkuje i jednakowo się rozwija. Jedne rośliny nie zabierają ani światła, ani soków drugim, gdyż korzenie ich i pędy rosną równomiernie. Zboże zasiane siewnikiem nie tak łatwo wylega i nie wymarza, wydaje duże, pełne kłosy, w których znajduje się dorodne ziarno.

Rolnik przez siew rzędowy oszczędza najpierw przy siewie. Ponieważ każde ziarno kiełkuje, wysiewa się rzędowo znacznie mniej, niż rzutowo. Oszczędność wynosi około 30 kg. na jeden mórg.

Większe jeszcze korzyści daje siew rzędowy przez lepsze plony. Na podstawie wielu najdokładniejszych doświadczeń stwierdzono, że zbiór z pola rzędowo obsianego jest co najmniej o 25% wyższy, niż z pola, na którem zboże jest rzutowo zasiane. Prócz tego ziarno z pola rzędowo zasianego jest zawsze piękne i pokupne.

Każdy rolnik powinien siać zboże tylko rzędowo, gdyż w ten sposób osięgnąć może ze swej roli najlepsze dochody.

Roman Kawecki.

SKNERA.

Szymon Gderacz był zamożnym gospodarzem, a przytem skąpiec aż do zapamiętania. Żonę miał gospodarną, ale jej nienawidził, bo zdawało mu się, że go niszczy i rujnuje, że go objada niepotrzebnie i dlatego chodził ciągle zły i nachmurzony. A broń Boże niechby kto obcy zaglądnął do jego chałupy, to zaraz czapkę nacisnął na uszy i smyk w pole; aby przypadkiem nie ugościć czem przybysza. Gdy znalazł się sam, mówił:

— Skaranie Boże z tymi ludźmi; przyłażą ciągle, a każdy patrzy, aby mu coś dać; jakby człowiek nie wiedzieć jakie fortuny posiadał. Dyabli mi tu po krewniakach i znajomych! Niech każdy swojej chałupy pilnuje, a mnie nie napastuje. Człek musi pracować, bo teraz bieda, ciężkie czasy, a im się pogadanek zachciewa i poczęstunku. Mnie na takie hrabskie zabawy nie stać.

A gdy zachorowało poczciwe kobiecisko, to jego złość targała; miejsca sobie znaleść nie mógł, mruczał i wyklinał wszystkie choroby na świecie. A ona więdła powoli, bez żalu i współczucia z jego strony i taki żal ogromny objął jej serce, taki smutek bezbrzeżny okolił zwiędłe lica, że stała się zimna i obojętna na wszystko w świecie; tylko cierpienia znosiła cicho i spokojnie, z poddaniem się woli Opatrzności.

Przyjechała siostra, która przypadkiem dowiedziała się o jej słabości, a spojrzawszy na blade lica cierpiącej, wyczytała w nich, jak w księdze otwartej, co niebogа cierpi; jakie katusze ukrywają się w głębi jej duszy. Ze łzami w oczach zwróciła się siostra do swego szwagra.

— Mój kochany Szymusiu, proszę cię na wszystko, poślij po doktora, bo Kasia bardzo chora, może jej co doktor pomoże.

— Ej, ktoby ta wierzył doktorowi, ja już żyję Bogu dzięki 50 lat i nie znałem doktora, a jak chorowałem, to bez doktora zawsze do zdrowia przyszedłem.

— Ale bój się Boga, ona umrze — rzecze siostra — przypatrz się, jak coraz bardziej opada z sił: oczy zapadają w głąb, przecież sumienie by ci nie dało spokoju, gdyby tak broń Boże umarła?

— Gadaj zdrowa, ona jeszcze mnie przeżyje, a zresztą — skąd wezmę pieniędzy na doktora? Ona mnie już dużo kosztuje przez tyle lat. Ja cienki, cienki — mówi sknera — a czy ja co za nią nabrał?

To mówiąc, zabrał kapelusz, trzasnął drzwiami, aż chora drgnęła i wypadł z chałupy.

Jagusia z płaczem pobiegła do sąsiadów i w małą chwilę zjawili się u chorej Michałowa Wiśniakowa, Aniela Zembata z mężem i Magdalena kowalka, i każda coś przyniosła dla chorej, bo Szymona znali dobrze w całej wsi i wiedzieli, że chorej lepszej strawy nawet żałował.

— Jakże kumoska, nie lepiej wam? — mówi kowalka — możebyście zjedli kawałek kiełbasy? Ot przyniosłam wam kawalątko, posilcie się!

— A może kurzyny kawałek? — ozwie się Michałowa — mięciuteńka, nie zaszkodzi wam.

— Zjedzcie kumoska, to się napijecie kiliszek wina — mówi Wicek Zembaty i kładzie na łóżku obok chorej flaszeczkę wina.

A chora uśmiechnęła się jak to słońce jesienne, kiedy ukaże swe oblicze z za chmur, by znów mdławą tarczę schować na długo. W uśmiechu tym przebijało się tyle wdzięczności dla poczciwych sąsiadów, że chora, gdyby mogła, do nóg by im upadła i dziękowałaby im, ale do ust nic nie wzięła. Po chwili ozwała się cichym, słabym głosem.

— O, Bóg zapłać wam kochani ale mnie już nic nie pomoże. Czuję, że słabnę z każdą chwilą... proszę was o jedno... poślijcie po księdza... bo koniec blizko.

Na te słowa kowalka wybiegła szukać Szymona, aby mu oznajmić wolę żony, ale Szymona nigdzie nie było. Poszedł nie wiadomo gdzie.

Wtedy Wincenty skoczył do domu, w mig zaprządł konie i za chwilę głos dzwonka zwiastował, że ksiądz z ostatnią pociechą zbliża się.

Przybył ksiądz, przygotował chorą na drogę daleką, udzielił umierającej ostatniego błogosławieństwa i odjechał.

Kasia, otoczona sąsiadkami, uspokoiła się zupełnie, tylko w jej oczach widniał ten smutek dziwny, nieokreślony, a nadający tej duszy poczciwej, dziwnej, niebiańskiej powagi.

Patrzyła w koło i wyszeptała błagalnym głosem:

— Gdzie Szymon? Módlcie się za niego, by go Pan Bóg oświecił, bo tak, to mu bardzo ciężko będzie na świecie. Módlcie się za niego... by się poprawił... on kościoła nigdy nie widzi... ani spowiedzi... on bardzo nieszczęśli...

Nie dokończyła, westchnęła głęboko i duch opuścił ciało.

. . . .

Cisza grobowa zaległa skromną izdebkę, a na łożu spoczywała snem wiecznym Kasia, spokojna i wolna od cierpień i bolów. Uśmiech lekki okolił zbielałe lica, tylko ten smutek dziwny pozostał w obliczu, czyniąc kontrast z uśmiechem na ustach. A Szymon przepadł gdzieś bez wieści; nie było go nawet przy śmierci żony.

Nie było go i na pogrzebie. Dopiero w kilka dni znaleziono go w gęstwinie pobliskiego lasu, bez życia, a w skostniałych rękach trzymał garnek napełniony pieniądzmi, a na na twarzy uśmiech zesztywniały, ale jakiś różny od uśmiechu jego żony. Wzrok miał wpojony w błyszczący metal, a przedstawiał widok tak straszny, że kto popatrzył w te zastygłe rysy, odwracał oblicze i ze wstrętem uciekał.

J. Jarmutą.

ROZBITKI Z BALONU.

ROZDZIAŁ XVIII.

Nie ma wiadomości od Naba. — Projekt Penkroffa i reportera. — Kawałek tkaniny. — Posyłka. — Poszpieszny odjazd.

Zdrowie chorego polepszało się stale, choć zwolna, teraz więc najgłówniej szło to, aby go można było przenieść do Granitowego pałacu. Chociaż domek Ayrtona był dobrze zaopatrzony i zagospodarowany, nie można było znaleść w nim takiej wygody, jak w obszernem i zdrowem mieszkaniu z granitu. Prócz tego tutaj koloniści musieli strzedz się ciągle, aby którego z nich nie dosięgła kula zaczajonego gdzieś zbrodniarza, tam zaś nie potrzebowali obawiać się niczego.

O Naba byli spokojni. Chociaż nie mieli od niego wiadomości, wiedzieli, że odważny lecz roztropny murzyn, nie będzie się narażał napróżno, a w Granitowym pałacu nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Cyrus nie posyłał do niego Topa, nie chcąc tak wiernego i użytecznego zwierzęcia narażać na strzały zbrodniarzy.

Inżynier ubolewał nad tem, że siły kolonistów musiały być podzielone, co właśnie korzystne było dla korsarzy. Od zniknięcia Ayrtona kolonia liczyła tylko czterech obrońców przeciwko pięciu napastnikom, bo na Harberta nie można było jeszcze liczyć. Rozumiał to biedny chłopiec i martwił się, że towarzysze mają z jego powodu tak wiele kłopotu.

Gdy Harbert zasnął, Cyrus, Gedeon i Penkroff zaczęli się naradzać, jakie w obecnem położeniu możnaby przedsięwziąć środki przeciwko rozbójnikom.

— Towarzysze — rzekł reporter — podzielam wasze zdanie, że wyjść teraz na drogę, prowadzącą do Granitowego pałacu, byłoby to samo, co wystawiać się dobrowolnie na strzały zbrodniarzy, lecz czy nie zgodzicie się na to, że może byłoby najlepiej zacząć ich ścigać otwarcie?

— Właśnie o tem myślałem — odpowiedział Penkroff. — Żaden z nas przecie nie obawia się kuli, i co do mnie, jeżeli tylko pan Cyrus pozwoli, gotów jestem choćby dziś jeszcze poszukać ich w lesie.

— Ja pójdę z Penkroffem — rzekł reporter — i obadwaj dobrze uzbrojeni, wziąwszy z sobą Topa...

— Przyjaciele — rzekł Cyrus — mówmy rozważnie, z zimną krwią. Gdybyśmy znali schronienie korsarzy, i gdyby nam chodziło o to jedynie, aby ich z niego wyrugować, nie sprzeciwiałbym się waszemu zamiarowi. Ale czyż obecnie nie należy się obawiać, że oni właśnie, mając sposobność śledzenia naszych ruchów, pierwsi zaczną do was strzelać!

— Eh, panie Cyrusie — zawołał Penkroff — kula nie zawsze trafia do celu!

— Ta, którą wymierzono do Harberta, nie chybiła, Penkroffie — odpowiedział Smith. — Zresztą zastanówmy się i nad tem, że jeżeli obydwaj oddalicie się z owczarni, ja sam nie będę w stanie odeprzeć napaści. A czy możecie zaręczyć, że zbrodniarze nie zobaczą was wychodzących i że pozwoliwszy wam zapuścić się w las, nie uderzą na domek, wiedząc, że pozostał w nim tylko jeden obrońca i chory młodzieniec?

— Masz pan słuszność, panie Cyrusie — odpowiedział Penkroff. — A! gdybyśmy byli w Granitowym pałacu

— Tak — rzekł inżynier. — W Granitowym pałacu położenie nasze byłoby całkiem odmienne; tam nie obawiałbym się pozostawić Harberta pod opieką jednego z nas, a trzej inni mogliby ścigać złoczyńców. Ale jesteśmy w owczarni i musimy pozostać, dopóki jej razem nie będziemy mogli opuścić.



...Penkroff zaprzągł onagę.

— Gdyby przynajmniej Ayrton był jeszcze z nami — odezwał się Gedeon. — Biedny człowiek Niedługo cieszył się powrotem do życia społecznego!

Tak, jeżeli nie żyje... — rzekł Penkroff z naciskiem.

— Czy sądzisz, że ci niegodziwcy nie odebrali mu życia?

— Jeżeli to było zgodne z ich interesem!...

— Jakto! Przypuszczasz, że Ayrton, spotkawszy dawnych wspólników, zapomniał, co nam winien, i...

— Kto może wiedzieć? — odpowiedział marynarz z pewnem wahaniem.

— Penkroffie — rzekł Cyrus — to myśl naganna, odrzuć ją! Ayrton dał nam już tyle dowodów wierności i przywiązania, że chętnie ręczyłbym za niego!

— Ja także! — dodał żywo reporter.

— Tak... tak!... panie Cyrusie... zbłądziłem... była to zła myśl, której zresztą nic nie usprawiedliwia Ale cóż chcesz? Ten przymusowy pobyt w owczarni tak mnie już zmęczył, że nigdy jeszcze nie byłem tak rozdrażniony, jak obecnie!!

— Musisz się jeszcze uzbroić w cierpliwość na czas jakiś — odpowiedział inżynier. — Powiedz mi, Gedeonie, jak prędko będzie można przewieść Harberta?

— Trudno powiedzieć — odrzekł reporter — bo najmniejsza nieostrożność mogłaby sprowadzić zgubne skutki; ale może za ośm dni będzie znacznie silniejszy, a wtenczas zobaczymy!

Ośm dni! W takim razie powróconoby do Granitowego pałacu dopiero w początku grudnia, a już teraz upłynęło dwa miesiące wiosny. Czas był piękny, upały zaczęły się wzmagać i zbliżał się czas, w którym trzeba było rozpocząć żniwa, łatwo więc pojąć, jak to zamknięcie w owczarni przykre i szko-

dliwe było dla kolonistów. Musieli poddać się konieczności, ale niecierpliwość ich z każdym dniem wzrastała.

Parę razy reporter z bronią w ręku wszedł za palisadę i okrążył ją dokoła. Top biegł przy nim. Nie spotkał nikogo, Top zachowywał się spokojnie, trzeba więc było wnosić, że zbrodniarze musieli się oddalić. Jednak, kiedy Spilett wyszedł powtórnie 27 listopada i zapuścił się na jakie ćwierć mili w las, zwróciło to jego uwagę, że Top biegał w tę i ową stronę, jak gdyby czegoś szukał. Reporter zaczął go zachęcać głosem, przesuwając się ostrożnie między krzakami i śledząc bacznie, czy się kto nie zbliża. Przez jakie pięć minut pies węszył i szukał, a Spilett szedł za nim ostrożnie, gdy nagle zmyślne zwierzę poskoczyło do gęstego krzaka i wyciągnęło poszarpany i powalany kawałek jakiegoś ubrania. Reporter zaniósł go natychmiast Cyrusowi; po bliższem rozpatrzeniu okazało się, że to kawałek kaftana Ayrtona, uszytego z sukna, wyrobionego na wyspie.

— Patrz, Penkroffie — odezwał się Cyrus — oto dowód, że korsarze uprowadzili przemocą biednego Ayrtona! Czy powątpiewasz jego o jego uczciwości?

Dotąd zdawało się, że Ayrton, zaskoczony nagle w owczarni, padł ugodzony kulą, tak, jak to później stało się z Harbertem; teraz mogli przypuszczać, że skoro zbrodniarze uprowadzili go z sobą do swej kryjówki, to może dotąd być jeszcze ich więźniem. Kto wie, czy który nie poznał w nim dawnego towarzysza z Australii, Bena Joyce, przywódcę bandy zbiegłych zbrodniarzy; mogli nawet przypuszczać, że Ayrton, jeżeli tylko żyje, dołoży wszelkich usiłowań, aby się wyswobodzić z rąk zbrodniarzy. W takim razie uda się wprost do Granitowego pałacu, gdyż nie może przypuszczać, że jesteśmy uwięzieni w owczarni.

— A! chciałbym szczerze, aby on już był w Granitowym pałacu, i my z nim także. Wprawdzie te potwory nie mogą zburzyć naszego granitowego mieszkania, lecz mogą zrabować i zniszczyć zasiewy, ogrody i kurniki.

Wszyscy koloniści podzielali życzenia marynarza, żaden z nich jednak nie pragnął tak gorąco wrócić do Granitowego pałacu, jak Harbert, który wiedział, że obecność jego towarzyszy jest prawie konieczna, i że tylko przez wzgląd na niego pozostali dotąd w owczarni.

29 go listopada, koloniści rozmawiali z sobą, siedząc przy łóżku Harberta, gdy Top zaczął szczekać głośno. Cyrus, Gedeon i Penkroff pochwycili za broń i wybiegli z domu. Top szczekał i skakał przy samej palisadzie, ale widocznie były to oznaki radości, a nie gniewu.

— Ktoś się zbliża!

— Z pewnością!

— Ale nie żaden z naszych wrogów.

— Może Nab?

— Albo Ayrton!

Zaledwie zamienili z sobą te kilka słów, kiedy ktoś jednym susem przesokoczył przez palisadę i stanął przed nimi. — Był to Jow!

— Zapewne Nab przysłał go do nas — rzekł reporter.

— W takim razie — odpowiedział Cyrus — musiał nam przynieść jakąś karteczkę.

Penkroff przysunął się śpiesznie do orangutanga. W istocie, jeżeli Nab chciał donieść coś ważnego, wynalazł sobie posłańca, który mógł przejść nie zaczepiony przez nikogo, choćby nawet po wierzchołkach drzew.

Cyrus nie omylił się: na szyi Jowa zawieszony był mały woreczek, w którym zawierała się kartka. Łatwo pojąć przerażenie i gniew kolonistów, gdy przeczytali następujące słowa:

»Piątek o 6 tej rano.
Rozbójnicy wtargnęli na płaszczyznę!
Nab«.

Spojrzeli po sobie w milczeniu i wrócili do domu. Co czynić? Rozbójnicy na płaszczyźnie, to ruina, zagłada, zniszczenie!

Zgodzono się odrazu, że trzeba przewieźć Harberta na wozie, sprowadzonym tu, jak wiadomo, przez Ayrtona. Nosze były dogodniejsze dla chorego, ale wymagały dwóch ludzi do niesienia, więc tylko jeden mógłby im towarzyszyć z bronią w ręku.

Przyprowadzono wóz, do którego Penkroff zaprzągł onagę. Cyrus i Gedeon przenieśli Harberta wraz z materacem i położyli go na wysłanym miękko wozie. Inżynier i Penkroff uzbroili się w dubeltówki. Spilet wziął swój karabin.

— Czy nie czujesz się bardzo zmęczonym, Harbercie? — zapytał inżynier.

— O! bądź spokojnym, panie Cyrusie, nie umrę wam w drodze.

Znać jednak było, że biedny chłopiec tylko wysiłkiem woli powstrzymywał gasnące siły. Serce Cyrusa ścisnęło się boleśnie, chciał już odłożyć wyjazd, gdy przyszło mu na myśl, że tem przywiódłby Harberta do rozpaczy, a tak silne rozdrażnienie mogłoby być szkodliwsze.

Otworzono bramę, Top i Jow wybiegli naprzód, wóz wytoczył się wolno na drogę i zamknięto napowrót bramę. Cyrus i Gedeon postępowali z dwóch stron wozu, gotowi odeprzeć napaść; zdawało się jednak, że zbrodniarze nie opuścili dotąd płaszczyzny Pięknego widoku.

Wóz toczył się bardzo wolno, jednak w godzinę po opuszczeniu owczarni koloniści zrobili cztery mile drogi, i szczęściem bez najmniejszego wypadku. Zbliżano się do płaszczyzny; milka jeszcze, a widać będzie już mostek na strumieniu. Cyrus był pewny, że złoczyńcy go nie zniszczyli, gdyż inaczej przecięliby sobie drogę do odwrotu.

Nakoniec za ostatniemi drzewami lasu ukazało się morze, a wkrótce potem Penkroff, zatrzymując onagę, krzyknął z gniewem:

— A nędzniki! potwory!

Zarazem wskazał ręką kłęby dymu, unoszące się nad młynem, chlewkami i kurnikiem.

Człowiek jakiś uwijał się przy zgliszczach, poznano w nim Naba. Towarzysze zaczęli wołać na niego, usłyszał ich i przybiegł. Zbrodniarze, spustoszywszy płaszczyznę, opuścili pół godziny temu.

— A Harbert? — zapytał Nab z żywością.

Gedeon wrócił do wozu: Harbert leżał zemdlony.

(Ciąg dalszy nastąpi).

U niebios proga.



A kiedy świat ci życie zbrzydzi
I sercem ból załarga,
Niech cierni oko twe nie widzi
I z ust nie płynie twoich skarga,
Bo tam u niebios proga
Pośród Aniołów rzeszy
Króluje Matka Boga,
Która cię pocieszy!...

Antoni St. Bassara.



Grzelów Walek to zawsze tak pada:

— Jak człeka Pan Jezus lubi, to mu da jedno dziecko, jak jesce bardzi lubi, to mu da dwa dziecka, ale jak się mu kto nie nada, to go obsypie całą furą dziecek, aby miał bez całe zycie strapienie i udręcenie.

Z tego Walkowego gadania, to mnie się widzi, ze Pan Jezus najbardziej nie lubi wszyćkich prefesurów, bo jem podawał całe kupy dziecek i to samych cudzych dziecek.

A jakie to dziecka?!

Moiściewy, jakby tak chciał wszyćkie opisać, toby papiru i atramentu brakło na całym świecie!...

Wkiejsik, ze to były zapisy, posedem do skoły popatrzyć się na tych małych brzdąców, jako ze dzieci lubie okrutecnie. Ino mnie prefesur zuźrół, pyta:

— Co i ty, Maciuś, do wpisu?

— Przeprasam łaski pana, ja na to — gdzieby tam Pan Jezus mnie brzdąca dał — u nas jesce nie wszyćkie gospodarze dziecka mają, to na mnie kolej nie przysła. Chciałem się ino na cudze popatrzeć, aby milej człekowi było.

I patrzyłem.

Pindzina przyprowadziła nygusa sześcioletniego i prosiła o wpis.

— O, to krnąbrne chłopcysko! — pada prefesur.

— Ale dzie! — Pindzina na to — to janiołek prawdziwy.

A janiołek w ten raz pokazał prefesurowi język.

Pedziołem to Pindziny, a ona na mnie ślipia wywaliła, zaś do prefesura rzece:

— Niech pan Maćkowi nie wierzy, bo on brese, a mój Ignaś ino się oblizuje, bo na śniadanie miód jad.

Bidne prefesurzysko ino się uśmichnęło, bo co miał rzec, kiedy wiedział, ze z Ignaca Pindziny żgac okrutny.

Potem przyszła Walaskowa ze swojem Józusiem i poczęła prosić, zeby go prefesur do wyzszego oddziału przeznacył,

— To okrutnie przyścipny chłopak — mówiła.

— A umis ty co mówić? — pyta go prefesur.

— Ino! — gada Józuś.

— A pacirz umis?

— Ino!

— Powiedzno mi »Ojcze nasz!«

— Ino!

— Ej, to ty widzę nic nie umiesz! — prefesur na to.

— Ino! — powtarza Józuś.

— A wiesz ty, jak się nazywasz?

— Ino!

— No to powiedz, jak?

— Ino!

Prefesur począł perswadować Walaskowej, ze z chłopakiem nawet w pirsem oddziele będzie wiele roboty, ale Walaskowa nie dała się przekonać, ino gadała, co się Józuś zaląkł.

E, myśle se: Miałby ja takie mieć dziecka, to ich wolę całkiem nie mieć.

Z TYGODNIA.

Rusini a przyszła sesya sejmowa. Rusini przypuszczalne skutki swej nieustępliwości w sprawie ugody z Polakami co do reformy sejmowej zwalać zaczynają na Polaków. Członek Wydziału krajowego, ukrainiec p. Kiweluk, oświadczył wobec jednego z redaktorów, że do ugody polsko-ruskiej prawdopodobnie nie przyjdzie z winy Polaków. Łatwo przyjść za to może do rozwiązania Sejmu. »Polacy — mówił p. Kiweluk — przez rozwiązanie Sejmu chcą pozbyć się kilku niewygodnych im, bo już doświadczonych i nieprzejednanych posłów ukraińskich, a w ich miejsce wprowadzić do Sejmu ludzi niedoświadczonych, a zwłaszcza umiarkowanych. Z drugiej strony zechcą się Polacy pozbyć i pewnej grupy niewygodnych im posłów polskich, która stojąc w opozycyi do namiestnika Bobrzyńskiego, zwalcza dziś wogóle wszelką myśl ugody z Rusinami«.

Agitacya rosyjska w Galicyi. Jeden z najpoważniejszych dzienników wiedeńskich zwraca uwagę na namiętną agitacyę, jaką Rosya od dłuższego czasu prowadzi w Galicyi i to nietylko we wschodniej, ale i w zachodniej części tego kraju koronnego. Dziennik stwierdza, że w XX stuleciu nie podejmuje się podobnej agitacyi li tylko w celu szerzenia prawosławia, lecz że agitacya rosyjska ma na oku ważne cele polityczne. Niezaprzeczony fakt istnienia agitacyi rosyjskiej w Galicyi musi tem bardziej zadziwić, ile że polityka austryacka wobec Rosyi ożywiona jest chęcią utrzymania przyjaznych stosunków sąsiedzkich.

Niemczenie Galicyi. Podobno były niemiecki minister-rodak, wszechniemiec Dr Schreiner, wybiera się w jesieni do Galicyi, aby, jak piszą niemieckie gazety, »zbadać straszny ucisk, jakiemu ulegają Niemcy w Galicyi«. Niemcy galicyjscy zasypują Związek narodowo-niemiecki w Austryi skargami »na jarzmo polskie«, podnosząc, iż Polacy odmawiają im odpowiedniej reprezentacyi w sejmie i t d. Były minister Schreiner ma pośredniczyć u galicyjskich władz krajowych na rzecz Niemców i odbyć podróż inspekcyjną po Galicyi. Nie potrzebujemy dodawać, iż taka podróż wszechniemieckiego ministra jest tylko jątrzeniem narodu polskiego, który w Galicyi nikogo nie uciemięża, a znikoma garstka Niemców w Galicyi ma aż nadto niemieckich szkół i innych zakładów Niemcom potrzebnych. O pośle zaś niemieckim do Sejmu galicyjskiego żaden rozważny Niemiec nawet nie myśli, bo wie, że Niemcy do tego mandatu nie mają podstawy ani po wsiach, ani w miastach.

Ruch rewolucyjny w marynarce rosyjskiej jest poważniejszy, według nadchodzących prywatnych wiadomości z Rosyi, aniżeli przypuszczać można z pism rosyjskich. Przyczyną, która ułatwiła rozwój rewolucyjnych haseł wśród marynarki rosyjskiej, było przymusowe próżniactwo marynarzy. Rosya, jak wiadomo, straciła prawie całą swoją flotę w bitwie z Japończykami pod Cuszymą. Zostało jej tylko tych kilkanaście statków, które nie pojechały do Japonii i nie brały udziału w walce. Więc statków Rosya nie ma, ale ma oddziały i do nich zalicza żołnierzy. Ma kapitanów okrętowych, ma wiceadmirałów i admirałów. A skoro ma tych dygnitarzy i te oddziały, to już z konieczności rzeczy musi utrzymywać cały aparat wojenny i wypełniać go marynarzami. Tymczasem w żaden sposób nie może tych marynarzy zatrudnić. Zaledwie co drugi, co trzeci dzień odbywają oni ćwiczenia na okrętach, a resztę czasu spędzają w koszarach, nudzą się i oczywiście czytają rewolucyjne broszury. Oto powód, dzięki

któremu podobno cała marynarka rosyjska jest zrewolucyonizowana.

Bułgarzy przeciw Turcyi. W całej Bułgaryi odbywają się od paru tygodni po miastach wiece za wojną z Turcyą. Bułgarzy oburzeni są na rząd turecki, że dopuścił w mieście Kaczaniku, w Macedonii, do rzezi ludności bułgarskiej przez ludność turecką. Przyczyna tej rzezi była następująca: Na rynku w Kaczaniku rzucił ktoś bombę podczas jarmarku. Od wybuchu poległo podobno kilku Turków. Zamach ten wzburzył bardzo ludność turecką Kaczaniku, a gdy ktoś krzyknął, że bombę rzucił jakiś Bułgar, wtedy Turcy rzucili się na Bułgarów i podobno aż 120 zabili. Policya turecka zamiast bronić napadniętych, patrzyła na mordowanie ich spokojnie. Tak piszą gazety bułgarskie. Ale tego jeszcze niedosyć. Oto rząd turecki nietylko sam nie postarał się o to, żeby poranieni Bułgarzy otrzymali ratunek i pomoc lekarską, ale nie przepuścił wcale lekarzy bułgarskich przez granicę, gdy chcieli nieść rodakom pomoc. To też oburzenie w całej Bułgaryi jest wielkie i ludność domaga się wojny z Turcyą i zajęcia przez Bułgaryę Macedonii. Posłowie Rosyi, Austryi, Anglii, Niemiec i Włoch ostrzegli rząd bułgarski, żeby nie wszczynał wojny z Turcyą, bo mocarstwa te nie życzą sobie teraz na półwyspie bałkańskim żadnej wojny.

Widoki pokoju między Włochami a Turcyą. Gazety donoszą, że tocząca się od dziesięciu miesięcy wojna włosko turecka, zdaje się, że ma się ku końcowi. Niepokoje albańskie, a przedewszystkiem groźne i niewyjaśnione położenie wewnętrzne Turcyi, skłaniają Turcyę do ustępstw na rzecz pokoju, który o tyle łatwiej będzie zawrzeć obecnemu gabinetowi, ponieważ wojna zaczęła się nie za jego rządów. Podobno zawarcie pokoju między Turcyą a Włochami oczekiwane jest na październik, a najpóźniej na listopad b. r. Odnośne rokowania, jak pisaliśmy, toczą się w Szwajcaryi. Należy oczekiwać zawieszenia broni, po którem niedługo nastąpi zawarcie pokoju. Za zapowiedź pokoju trzeba uważać także, iż wobec rokowań pokojowych z Włochami, turecka Rada ministrów postanowiła wyprowadzić z Azyi Mniejszej dwie dywizye wojskowe i skierować je do Macedonii, bo nie obawia się już obecnie ataku włoskiego na Azyę.

Z Marokka. W afrykańskim kraju, Marokko, nastąpiła niedawno zmiana panującego. Marokko jest pod protektoratem Francyi, i Francya tam rządzi, trzymając własne wojsko. Sułtan marokański jest malowanym monarchą, pozbawionym władzy. Utrzymuje go Francya tylko ze względu na uczucia religijne Marokańczyków. Dotychczasowy sułtan Muley Hafid, przymuszony przez Francyę, zrzekł się tronu marokańskiego i udał się w podróż do Paryża. Brata jego, Muleya Juszufa w stolicy Marokka, Rabacie, obwołano sułtanem marokkańskim. Obwołanie odbyło się po odczytaniu listu o zrzeczeniu się tronu przez Muleya Hafida w wielkim meczecie (świątyni) sułtańskim. Na cześć nowego sułtana dano niezliczone salwy armatnie. Ludność podczas uroczystości zachowywała się biernie.

Równouprawnienie kobiety japońskiej. Nowy cesarz japoński, Joszhito, wydał rozkaz, aby na przyszłość w uroczystościach dworskich uczestniczyły też kobiety, co dotychczas były wzbronione.

Cesarz japoński do Ojca św. Nowy cesarz japoński wystosował w tych dniach nader serdeczne pismo odręczne do Papieża, w którem zapewnia Ojca św., że otoczy opieka misye katolickie w Japonii, jeżeli się one będą stosowały do ustaw japońskich.

KRONIKA.

Przyjęcie biskupa. Odbywając wizytacyę swej dyecezyi, przybył dnia 25 sierpnia ks. biskup tarnowski Wałęga do Żabna. Na przyjęcie dostojnego gościa poczyniło miasteczko liczne przygotowania, wzniosło dwie bramy tryumfalne, wystawiło banderyę chłopską z 60 koni. O godzinie 3 popołudniu oczekiwały dostojnika przy bramie przyjęcia tłumy ludności, oraz reprezentacya miejska z wiceburmistrzem na czele p. Marynowskim, który w podniosłych słowach powitał serdecznie imieniem miasta Arcypasterza. Ks. biskup, podziękowawszy krótko i zwięźle za przyjęcie, zszedł z pojazdu i udał się pieszo do świątyni, gdzie nastąpiło uroczyste bierzmowanie dziatwy szkolnej.

Sejmik relacyjny. Piszą nam z Jaworska (pow. Brzesko): Dnia 25 sierpnia odbyło się u nas zebranie gmin: Jaworsko, Łysa Góra, Grabno i t. d., na którem poseł naszego okręgu Dr Antoni Matakiewicz złożył sprawozdanie poselskie przed okolicznymi wyborcami. Zgromadzeni nader licznie w domu gospodarza Wojciecha Sachy, wybrawszy przewodniczącym naczelnika gminy Jaworska, zastępcą Józefa Morysa z Łysej Góry, sekretarzem Walentego Mleczkę, wysłuchali dłuższego a bardzo zrozumiałego sprawozdania poselskiego z wielką uwagą i poważnem skupieniem ducha. — Poseł Dr Matakiewicz przedstawił w swoich wywodach całą działalność Koła polskiego, wyświetlając wszystkie sprawy obchodzące rolników i stanowisko posłów wszystkich stronnictw w odnośnych sprawach. Z przemowy p. posła nacechowanej szczerą miłością kraju i sprawy narodowej przekonaliśmy się dobitnie, kto właściwie szczerze dla nas pracuje, a kto krzykiem, hałasem i obłudą stara się nas tumanić — przekonaliśmy się, co jest praca w parlamencie a co krzyki i ugryzki po zgromadzeniach wśród mniej świadomych mas ludowych. To też »zdrowe nasze rozumy chłopskie« przyjęły sprawozdanie rozumne a pozbawione wszelkiej obłudy z całą ufnością w przyszłość, że Koło polskie i nadal będzie przedstawiać nasze żądania i konieczności wobec rządu z takim taktem i tak, by dla nas jakaś korzyść z pracy około utrzymania i popierania tego co konieczne dla rządu, wynikła. Mowę Dra Matakiewicza nagrodzono serdecznem podziękowaniem, wyrażając mu jednogłośnie wotum zaufania. W dyskusyi, jaka się wywiązała, zabierali głos liczni wyborcy, zapytując o liczne sprawy, na które p. poseł dawał dokładne i szczegółowe wyjaśnienia. Zabierali głos pp.: Wiktor Batko, Józef Morys, kierownik szkoły p. Węglarski i wielu innych. Zebrani żegnali podziękowaniem swego posła, polecając mu swoje sprawy gminne do poparcia, gdzie należy. Słowem zgromadzenie to będzie długo pamiętne w Jaworsku i okolicy. P. poseł Matakiewicz cieszy się sympatyą i uznaniem wśród swych wyborców tem bardziej, że styka się z nimi na sejmikach relacyjnych, objaśniając zawsze szczerze i jasno położenie polityczne.

Obchód ku czci Krasińskiego. W niedzielę dnia 25 sierpnia, włościańskie polskie Towarzystwo »Sokół« w Pnikucie, w pow. mościskim, obchodziło uroczystość ku czci poety Zygmunta Krasińskiego. Prezes »Sokoła«, p. Jan Filip, wyjaśnił zebranym znaczenie obchodu, poczem p. Bronisław Richter wygłosił odczyt o dziełach poety, a p. Leon Richter deklamacyę, następnie odśpiewano »Wieniec polski« i odegrano sztuczkę p. t. »Kościuszko w Petersburgu«. Przybyli na obchód i zamiejscowi goście, nie brakło również inteligencyi, co »Sokołowi« znaczniejszy dochód przyniosło.

Wybuch granatu. W Bursztynie, w Galicyi wschodniej, zaszedł wypadek nadzwyczajnej lekkomyślności, której ofiarą omal nie padło życie kilkunastu ludzi. W okolicy tej odbywały się niedawno ćwiczenia artyleryi; jeden z włościan tamtejszych znalazł na polu granat i przywiózł go ze sobą do Bursztyna.



Dowiedział się o tem pewien kanonier, który się natychmiast zgłosił do owego szczęśliwego znalazcy i zaofiarował się, że on to pokaże, jak taki granat wystrzeli. Sztuki swej kanonier chciał dokonać na jakiemś ludniejszem miejscu i wkrótce skupił naokoło siebie około 40 dzieci i kilkunastu starszych ciekawskich. Kanonier pracował kilka minut przy rozśrubowaniu granatu, w końcu jednak to mu się znudziło i rzucił granat o ziemię. Nastąpił wybuch, który na szczęście pokaleczył tylko owego kanoniera, a dzieci jakby cudem ocalały.

(W. L.) **Przedstawienie amatorskie.** Dnia 11 sierpnia odegrano w Golcowej, w powiecie brzozowskim, »Przysięgę Kościuszki« i Kucie kos z »Kościuszki pod Racławicami«. Przedstawieniem tem zajęli się studenci gimnazyalni, którzy, będąc na wakacyach, silnie pracowali nad urządzeniem przedstawienia, z którego wywiązali się dobrze.

Sejmik relacyjny posła p. Białego odbędzie się d. 8 b. m. o godz. 4 w Domaradzu, w sali Rady gminnej. Na sejmiku będzie omówiona sprawa założenia mleczarni.

(W. L.) **Parę uwag dla popisowych.** Z powiatu strzyżowskiego piszą nam: Tegoroczny pobór rekruta odbywać się będzie w powiecie strzyżowskim od dnia 9 września. Kiedy dowiedziałem się o tem, stanęły mi w pamięci nieraz już widziane burdy, krzyki i bijatyki, jakie co roku wyprawiają nasi popisowi. Ludzie w mieście patrzą na nich z pogardą i mówią, że tam jeszcze po wsiach ciemnota i brak wychowania! Karygodne są takie dzikie hałasy i śpiewy pijackie popisowych parobczaków — ale jeszcze gorszymi są dalsze skutki pijaństwa, bo między poborowymi wywiązują się często bójki, które się kończą pokaleczeniem niejednego z nich. Dlatego radzę rodzicom i starszym w gminie, aby usilnie pracowali nad tem, aby popisowi w dniu poboru do wojska przyjeżdżali do miasta trzeźwi i bez krzyków. Zwyczaj upijania się popisowych w dniu poboru do wojska w naszym powiecie powinien już raz ustać!

Przykre nieporozumienie. Na pograniczu Galicyi od strony Rosyi szerzy się przemytnictwo, szczególnie koni; skradzione w Galicyi idą za kordon na sprzedaż, albo też naodwrót. Na tle tych stosunków rozegrało się niedawno zajście na gościńcu, między Sieniawą a Jarosławiem. Posterunek straży skarbowej otrzymał poufną wiadomość, że od rosyjskiej granicy pędzą przemycane dwa siwe konie na jarmark do Radymna. Posterunek wysłał dwu strażników i ci zbrojni w karabiny czatowali na gościńcu niedaleko wsi Leżachów. Było to w nocy z 11 na 12 sierpnia. Właśnie wracał z Sieniawy do Jarosławia zarządca podatkowy p. Baczyński, jadąc dwoma siwymi końmi gospodarza z Jarosławia. Było już dobrze ciemno. Nagle usłyszał woźnica okrzyk »stój!« Zatrzymał konie w tej chwili, siedzący jednak na wozie p. Buczyński rozkazał dalej jechać. Woźnicy przyszło na myśl, że to może bandyci chcą go zatrzymać, zaciął konie i ruszył z kopyta. Z tyłu z za nich padł strzał, następnie drugi i jeden koń zwalił się na ziemię, wóz się wywrócił, p. Buczyński wypadł zeń i zbiegł przerażony w pole. Drugi koń powlókł jeszcze parę kroków, następnie padł. Po zajściu uwiadomiono posterunek żandarmeryi w Sieniawie. Przeprowadzone śledztwo wykazało, że konie zastrzelili strażnicy akcyzowi, którzy czatowali na przemytników. Zaszło więc bardzo przykre nieporozumienie, którego ofiarą na szczęście nie padło życie ludzkie.

Niebezpieczny węgorz. W pewnej restauracyi we Lwowie, kucharz polecił chłopcu przynieść żywego węgorza z piwnicy do kuchni. Chłopak, spełniając rozkaz, wracał do kuchni, po drodze jednak, dla ułatwienia sobie, przewiesił węgorza przez ramię, tembardziej, że był wielkich rozmiarów. Wijący się węgorz owinął się o szyję chłopaka i ścisnął tak, że chłopak zemdlał. Dla uwolnienia go z uścisku, który mógł życiem przepłacić, musiano węgorza rozciąć na pół.

(J. B.) **Daty ze szkolnictwa na Śląsku.** Śląsk posiada 12 okręgów szkolnych. Szkół wydziałowych publicznych jest 39 (w tej liczbie 1 tylko polska!) o 150 klasach, z tego 15 szkół żeńskich. Szkół ludowych publicznych jest 570 włącznie z 14 ekspozyturami. Liczą one wraz z paralelkami i 14 ekspozyturami 1809 klas. Nauka w 303 szkołach jest całodniowa, w 188 półdniowa, w 70 zaś według potrzeby. Publicznych szkół ludowych żeńskich jest 29, męskich 41, mieszanych (dla obojga płci) jest 500. Z tych szkół 246 czysto niemieckich. Polacy zaś mają 154 polskich, a Czesi 134 czeskie. W tych liczbach są i szkoły utrakwistyczne (mieszane), a mamy takich 22, Czesi 14. Zaznaczyć też wypada, że cyfra szkół polskich zawiera dużo szkół mniej zorganizowanych i ekspozytur.

(J. B.) **Pożary.** Od kilku lat już powtarzają się u nas, na Śląsku, w jesieni, gdy stodoły są napełnione zbożem, regularnie pożary, które przeważnie zbrodniczą ręką są podłożone. W nocy przed Wniebowzięciem Matki Boskiej spłonęła do szczętu stodoła Jerzego Stryczka, rolnika w Dziedzicach, na Śląsku austryackim, w której, oprócz maszyn rolniczych, znajdowało się dwadzieścia kóp żyta. Owies i jęczmień, na szczęście, jeszcze nie był z pola uprzątnięty. Lecz na nieszczęście p. Stryczek miał tylko stodołę zabezpieczoną, plony zaś chciał dopiero zabezpieczyć, gdy je zgromadzi do stodoły. Ogień był prawdopodobnie podłożony. — D. 21 sierpnia około godz. 11 w nocy wybuchł pożar u wójta w Górnej Suchej, p. Kristka, na Śląsku austryackim. Pono w złym zamiarze i według zdania poszkodowanych, nie przez zwykłego »chachara» podłożony ogień obrócił w krótkim czasie budynki gospodarcze, tegoroczne żniwo i prawie wszystkie narzędzia rolnicze w popiół. Na miejsce przybyło pięć straży ogniowych z 6 sikawkami.

(J. B.) **Zapis na szkolnictwo czeskie.** W tych dniach zmarł w Ostrawie Morawskiej obywatel Antoni Podeśwa. Zmarły zapisał cały swój majątek w wartości 50.000 kor. »Maticy Ostrawskiej«. Ś. p. Podeśwa postąpił po obywatelsku. Ufundował sobie

pomnik wiecznotrwały, a drugim dał przykład zarządzania majątkiem jak najgodniej.

Zaciekłość pruska. W Raciborzu, na Śląsku pruskim, odbywała się długo rozprawa sądowa przeciw sędziemu Knittemu, oskarżonemu o ponowną obrazę swej władzy wojskowej, której dopuścił się przedtem jeszcze w charakterze porucznika rezerwy, za co przeniesiono go do »obrony krajowej«. Żadnego prawie rekursu Knittego nie uwzględniono, a w sprawie honorowej pomiędzy nim a jego pułkownikiem, przewodniczył obradom jego przeciwnik... sam pułkownik. Taki stan rzeczy nazwał Knitte komedyą i za to staje przed sądem. Najciekawszą chwilą z dotychczasowych rozpraw było przesłuchanie kapitana Kammlera, który, mając prywatną niechęć do Knittego, zadenuncyował go przed władzą wojskową, iż Knitte głosował przed kilku miesiącami na kandydata polskiego, Dra Seydę. To wystarczyło, aby sędziego przeniesiono do »obrony krajowej«. Gdy się bronił, powiedziano mu, że zasiadał w zarządzie kościelnym wraz z Polakami-narodowcami. Od tego czasu Prusacy zawzięli się na swego rodaka, że obecnie posadzili go na ławie oskarżonych. W istocie, w oczach zaciekłych Prusaków wielka to zbrodnia, że głosował na rozumnego i uczciwego posła polskiego!

Szaleństwa maryawickie. Z Łodzi donoszą, że po zajściach przed kaplicą maryawicką, gdzie zwaryowane maryawitki chciały ukrzyżować swego »biskupa« Kowalskiego, kilkunastu maryawitkom, z Mastalerzową i Taborkową na czele, wzbroniono nietylko wstępu do kaplicy, lecz nawet na podwórze posesyi maryawickiej. Kobiety te jednakże codziennie stoją przed kaplicą i gdy się ukaże który z duchownych, padają na kolana i oddają mu cześć. Najbardziej prześladują one biskupa Gołembiowskiego, którego również chcą koniecznie ukrzyżować. Niedawno, gdy duchowny Gołembiowski skończył nabożeństwo i wyszedł na ulicę, kobiety otoczyły go i padając na kolana, poczęły go błagać, aby dla odkupienia narodu pozwolił się ukrzyżować, gdy zaś ten począł im tłómaczyć niewłaściwość ich wierzeń i postępowania, kobiety rzuciły tię na niego, wobec czego musiał ratować się ucieczką. Na pomoc zagrożonemu duchownemu wezwano policyę, która waryatki aresztowała i odprowadziła do pierwszego cyrkułu. Gdy do cyrkułu przyjechał duchowny Gołembiowski dla podpisania protokółu, kobiety znowu z krzykiem i płaczem rzuciły się na niego tak, że siłą trzeba je było odrywać.

Zabite przez piorun. Włościanka ze wsi Sadcu, na Bukowinie, nazwiskiem Mojsiuk, zaskoczona przy pracy w polu przez szaloną burzę, skryła się wraz z córką i synem do stojącej w pobliżu szopy dworskiej. Za chwilę uderzył w szopę piorun i zabił Mojsiukową wraz z córką na miejscu, syna zaś poraził do tego stopnia, iż dopiero dnia następnego odzyskał przytomność. — Tego samego dnia zabił piorun trzy krowy na pastwisku w Witkowie górnym.

Kongres eucharystyczny (ku czci Przenajś. Sakramentu), jak donosiliśmy, odbędzie się w Wiedniu dn. 12, 13, 14 i 15 września. Polacy ze wszystkich zaborów będą stanowić osobną, narodową grupę. Dotychczas zgłosiło się 60.000 uczestników kongresu, a jest nadzieja, że zgłosi się jeszcze 10.000, tak, że razem będzie 70.000. W niedzielę, d. 15 września, w dzień procesyi, spodziewany jest nadto przyjazd osobnymi pociągami ośmdziesiąt tysięcy członków rozlicznych Stowarzyszeń katolickich, tak, że razem będzie około 100 000 osób zamiejscowych. Z pośród posłów do parlamentu zgłosiło się do udziału w kongresie 90 posłów.

15 ofiar spożycia zatrutych grzybów. Z Piszczan na Węgrzech donoszą, że w miejscowości Vagebret 15 rodzin otruło się grzybami, 5 osób umarło.

Nowe stukoronówki. Prawdopodobnie już w październiku zaprowadzone zostaną w Austryi banknoty stukoronowe nowego typu, które z biegiem czasu spowodują wycofanie z obiegu starych stukoronówek. W ostatnich czasach namnożyło się dużo fałszywych stukoronówek, dlatego rząd musiał przystąpić do wydania odmiennych.

Ofiara gór. Ze Steinbachu, w Tyrolu, wyruszyła wielka wyprawa dla odszukania zaginionego studenta, Obexera. Młodzieniec ten ruszył przed dwoma tygodniami na wycieczkę, w celu odkrycia nowej drogi na pewien szczyt i od tego czasu zniknął bez śladu. Po długich poszukiwaniach spostrzeżono w końcu przez lunetę strasznie poszarpane zwłoki Obexera, leżące w zgoła niedostępnej szczelinie górskiej. Wskutek niezwykle złych warunków atmosferycznych zwłoki zapewne pozostaną tam, gdzie leżą, dostęp bowiem do nich jest niemożliwy.

Zabity przez osę. W Lotaryngii, we wsi Kneutlingen, robotnik pewien połknął osę przy piciu piwa. Osa ukłuła go żądłem w przełyk, który tak opuchł, że robotnik poniósł śmierć wskutek uduszenia, zanim zdołano sprowadzić lekarza.

Napad pszczół. Pisma niemieckie donoszą o niezwykłym wypadku, który zdarzył się w pruskiej miejscowości Barendorf. Zarządca dóbr tamtejszych wysłał do pobliskiego miasta parobka z furą szutru. Gdy fura wyjechała w pola, naraz z niedalekich gąszczów uniósł się — na kształt chmury — olbrzymi rój pszczół i z groźnym brzękiem opadł zaprząg i parobka. Przerażone i kłute boleśnie konie, zaczęły kwiczeć przeraźliwie i stawać dęba, co jeszcze bardziej rozjuszyło złośliwy rój. Cały zaprząg wraz z parobkiem pokrył jakby szary tuman.



Wreszcie parobek, widząc, że nic nie poradzi przeciw morderczej przemocy, zaczął uciekać, pozostawiając konie na pastwę owadów. Przybiegłszy na folwark, opowiedział o niezwykłym napadzie. Wysłani ludzie, przybywszy na miejsce wypadku, znaleźli oba konie martwe i resztki brzęczącego roju pszczelnego. Parobek, pokłuty dotkliwie na twarzy i rękach, spuchł straszliwie, cały pocętkowany, jak po ospie. Nasza rycina przedstawia ten osobliwy napad.

Szybkość gołębia pocztowego. W Belgii schwytano gołębia pocztowego, który, jak się okazało z listu, przytwierdzonego pod skrzydłem, przebył w powietrzu 8000 kilometrów.

Hodowla kotów jako przemył. Osobliwy cyrkularz rozesłał jeden z bankierów francuskich do swych klientów: »W. P. proponujemy założyć Towarzystwo z kapitałem 3 milionów franków w celu hodowli kotów. Zaczniemy od zakupu jednego mi-

liona kocic, z których każda da rocznie 12 kociąt. Skórę kota sprzedaje się po 60 centymów biała i po 5 franków czarną, przeciętnie więc rocznie z 12 milionów kotów wypadnie sprzedać 50.000 skór dziennie. Jeden robotnik, otrzymujący dziennie 10 franków, wyrobi dziennie 50 skórek. Potrzebować będziemy 1000 robotników. Dzienny zysk więc wyniesie 10.000 franków. Ale czemże wykarmić miliony kotów? Naturalnie szczurami. Będziemy więc hodowali i szczury, które się płodzą 4 razy szybciej od kotów. Ale czemże karmić szczury? Bardzo proste: trupami kotów, z których będziemy zdejmowali skóry. W ten sposób koty będą się żywiły szczurami, a szczury kotami, my zaś będziemy mieli skóry i pieniądze. Akcya kosztuje 100 franków.

Słoń przyjacielem dzieci. Jest to młodziutki słoń, a nazywa się »mały Jimbo«. Sprowadził go sobie z Afryki do Paryża pewien lotnik francuski dla rozrywki swych dzieci. Dziś można widzieć codzień na paryskim placu lotniczym »małego Jimbo«, spacerującego w serdecznej zażyłości z dziećmi lotnika — jak to widzimy na naszej rycinie.



Jak zapewniają pisma paryskie, ten czworonożny przyjaciel dzieci jest nietylko najłaskawszym w świecie wierzchowcem, ale także doskonałą niańką sympatycznych dzieciaków. »Mały Jimbo« jest zwierzęciem jagnięcej łagodności, a przytem wielce przemyślnem i inteligentnem — kocha bardzo swych małych przyjaciół i cały dzień bawi się z nimi.

Przyjaźń psa z koniem. W jednem z pism francuskich przytoczony jest następujący przykład zmyślności zwierząt. Pewien ogrodnik w Strassburgu zauważył, że codzień ginie mu znaczna ilość marchwi z koszyka. Chcąc odkryć złodzieja, schował się w pobliżu, lecz jakież było jego zdziwienie, kiedy spostrzegł, że ulubiony jego pies chyłkiem zbliżył się do koszyka i porwawszy marchew, pobiegł z nią do stajni. Zaciekawiony ogrodnik poszedł za nim i przekonał się, że pies położył ukradziony przysmak przed koniem, z którym żył w wielkiej przyjaźni. Wrócił się potem do ogrodu po nowy transport marchwi i nosił ją, dopóki nic nie zostało w koszyku. W stajni był jeszcze drugi koń, ale ten nic nie dostawał.

Latające armaty. Niedawno temu pod Paryżem dokonano próby z powietrznym pancernikiem, a raczej z wojennym bojowym latawcem, uzbrojonym w armatkę. Strzały padały gęsto, po dwanaście na sekundę, latawiec jednak, o sile stu koni parowych, ani się zachwiał. Miał to być wspaniały widok. Wielki ptak, unoszący się w zmroku wieczornym, ziejący ogniem i grzmiący kanonadą. Najpierw błyskał płomieniem, potem ryczał, a ów ryk dochodził do ziemi jako twardy huk strzałów. Straszna będzie wojna w przyszłości. Pod niebem spotkają się stada olbrzymich kruków i z pod rozpostartych nieruchomych skrzydeł zaczną rzucać kanony, bomby, gruszki dynamitowe, — owoce zniszczenia. I ku sobie wymierzą żelazne dzioby armatek. I spluną ogniem jedne w oczy drugim. Co za zamęt! Potworne ptactwo wojny będzie się gryzło, plwało ołowiem kul, będzie się ścierało z sobą, obrywało, chwiało i w końcu zdruzgotane opadało.

Opieka nad zwierzętami w Anglii. Najnowsza ustawa angielska o dręczeniu zwierzat weszła w życie z dniem 1 stycznia 1912 i zawiera kary za dręczenie i brutalne znęcanie się nad zwierzętami. Kara może nawet wynosić 6 miesięcy więzienia, połączonego z ciężką pracą, lub z grzywną do wysokości 600 kor. Wielki ten postęp na polu opieki nad zwierzętami, zawdzięcza Anglia posłowi do parlamentu, Greenwoddowi, członkowi wydziału król. Towarzystwa ochrony zwierząt w Londynie. Wydanie tej ustawy jest dowodem wysokiego stanu uszlachetnienia u narodu angielskiego.

Ciekawe przewidywania. Pisma angielskie zamieszczają przepowiednie znanego angielskiego lekarza, Dra Winslona, który opierając się na kombinacyach cyfrowych doszedł do wniosku, że w roku 2212 całą ludzkość ogarnia szał. Zdaniem Dra Winslowa cyfry obłędów przybierają z każdym krokiem zastraszające rozmiary. W roku 1859 było 36762 chorych umysłowo, w roku ubiegłym 135000. Przed 50 laty przypadał w Londynie procentowo jeden chory na 575 mieszkańców, obecnie na 236. Wnioskując w dalszym ciągu dochodzi Dr Winslow do wniosku, że po upływie 300 lat więcej będzie w świecie ludzi chorych umysłowo niż zdrowych. Dowodzenia powyższe przyjmują pisma angielskie z niedowierzaniem dodając, że w razie sprawdzenia się przepowiedni Dra Winslowa zmiana może nastąpić jedynie w tym kierunku, iż chorzy umysłowo obejmą rządy, a zdrowych zamkną pod klucz, jako niebezpiecznych waryatów.

Powódź w Anglii. Hrabstwo Norfolk, jedno z sześciu hrabstw wschodnio-angielskich, położone nad morzem Północnem, zostało nawiedzone przez gwałtowną powódź skutkiem ulewnego deszczu, który padał przez jedenaście godzin. Stołeczne Norwich zostało również dotknięte powodzią. Na niektórych ulicach woda wznosiła się na trzynaście stóp. Woda podmyła na milowych przestrzeniach tor kolejowy, a w bardzo wielu miejscach zabrała progi i szyny. Połączenia telegraficzne i telefoniczne zostały w licznych miejscach również przerwane. Zarówno w Norwich jak w nadmorskich miejscowościach kąpielowych zostały uszkodzone wodociągi i gazownie lub elektrownie. Do kąpielowych miejscowości nie można się dostać. Łodzie ratunkowe krążyły po dotkniętych powodzią miejscowościach i zabierały mieszkańców, którzy schronili się na wyższe piętra domowe, na dachy budynków, drzewa itp. Około 7000 ludzi jest bez dachu.

Samotna wyspa. Niedawno temu donosiły gazety, iż mieszkańcy pewnej samotnej wysepki, należącej do wysp Hebrydów koło Szkocyi, bliscy są głodowej śmierci, ponieważ okręt w tych okolicach jest rzadkiem zjawiskiem, wysepka zaś sama uboga w roślinność i zwierzynę. Cała ludność tej wysepki składa się z około stu osób i żyje razem, w jednej osadzie, blisko wybrzeża. Całe pożywienie tych ludzi stanowi mięso z dzikich ptaków, które gnieżdżą się na skałach i które dają się z wielkim trudem niekiedy upolować. Był czas, w którym liczba mieszkańców tej wyspy dochodziła do trzystu, lecz szkarlatyna zrobiła straszliwe pośród niej spustoszenia. Obecnie stosunki zdrowotne nieco się poprawiają i mimo, że wyspie brak wszelkiej łączności z świa-

tem zewnętrznym, ludność powoli zaczyna wzrastać. Rzecz oczywista, że mieszkańcy tej wyspy prowadzą straszliwie jednostajny żywot. To też przybycie przypadkowe jakiegoś okrętu staje się prawdziwie »narodowem« świętem wyspy. Ostatnia ekspedycya ratunkowa zastała na wyspie 81 ludzi, w tem 40 kobiet. Corocznie umiera i rodzi się na wyspie mniejwięcej jeden człowiek; mieszkańcy są zdrowi i silni; czasem opuszcza wyspę jakiś mężczyzna, nie zdarzyło się jednak dotychczas, by wyspę opuściła kobieta, lub by na wyspę mężczyzna sprowadził kobietę z innej strony świata. Rząd wyspy ustala codziennie zajęcia dla wszystkich mieszkańców; gmina żyje bardzo moralnie, spokojnie i bez kłótni.

Na wyspie Rodos. Włoskie pisma ilustrowane pomieszczają mnóstwo opisów i obrazków, przedstawiających przyrodę i stosunki na zajętej niedawno przez flotę włoską wyspie Rodos. Starożytna ta wyspa, pełna wspaniałych zabytków, przedstawia się jak czarodziejski ogród. Ludność zajmuje się głównie pasterstwem.



Wszędzie widać dorodnych pasterzy lub urodziwe pasterki, pasące wśród kwiecistych łąk wełniste trzody kóz i owiec. W cieniu uroczych gajów palmowych i laurowych błądzą powolne muły i wielbłądy. Nasz obrazek przedstawia grupę pasterek rodyjskich z trzodą owiec.

Okrucieństwo. W Wirginii, w Stanach Zjednoczonych, zamordowano w straszny sposób kilku murzynów, oskarżonych o zamordowanie i ograbienie białego farmera. Dwu głównych sprawców przymocowano do szyn kolejowych tak, że nadchodzący pociąg zmiażdżył ich w oczach pięciu innych murzynów, podejrzanych o współwinę. Tych pięciu pobił tłum okropnie kijami. Wywołało to oburzenie wśród murzynów w Wirginii. Zachodzi obawa rozruchów. Z Waszyngtonu, stolicy Stanów, wysłano posiłki wojskowe.

Grób cesarza japońskiego. Rząd japoński przeznaczył na budowę grobowca dla zmarłego mikada czyli cesarza Mutsuhito 1,200.000 koron. Bardzo ciekawe zwyczaje towarzyszą wyborowi miejsca dla zmarłego cesarza Japonii. W tym kieruwku w dziejach Japonii istniały dwie epoki. Pierwsza z nich sięga XIV wieku, a charakteryzują ją ponure obrządki, zapożyczone od sąsiednich Chin. Kapłani japońscy wyszukiwali stada białych wołów i wypuszczali je w pobliżu rezydencyi zmarłego mikada. Miejsce, które sobie woły szczególnie upodobały, uważane było za szczególnie szczęśliwe i święte, tu też rozpoczynano budowę grobowca. Jeżeli miejsce to znajdowało się na równinie, kopano głęboki dół, w którym następnie z ciosanych kamieni budowano grobowiec, jeżeli natomiast woły zatrzymały się w górach, kuto w skale odpowiedniej wielkości sarkofag. Growiec powinien był być gotów w ciągu 43 dni, tak przepisywało prawo. Wszyscy robotnicy, żony zmarłego oraz dzieci, które przyszły na świat w roku jego zgonu, wreszcie stado białych wołów i kapłan najwyższy, który pierwszy odmawiał modły po zmarłym cesarzu, otaczali sarkofag, śpiewając cicho żałobne pieśni, a tymczasem sarkofag razem z ludźmi i zwierzętami z zewnątrz zawalano kamieniami i zamurowywano.

Epoki drugiej nie cechują takie barbarzyńskie obrządki. Wybór miejsca, na którem zbudowany ma być grobowiec dla cesarza, pozostawiano białym gołębiom albo synogarlicom. Miejsce takie poznawano również po obfitości rosnących na niem białych kanianek, dokoła których latały roje pszczół i pstrych motyli. Wznoszono lub wykuwano w skale, jak dawniej grobowiec kamienny, nie rozlegały się już jednak łkania żywcem zamurowywanych, lecz lekki szelest setek tysięcy białych motyli z żałobnym znakiem na skrzydłach utulał do snu wiecznego leżącego w grobowcu cesarza.

Jak zapobiegać pożarom w miastach, miasteczkach i po wsiach? Pod takim tytułem wyszła w Krakowie, nakładem wydawnictwa: »Więcej światła«, broszura, będąca doskonałą instrukcyą ostrożności ogniowej dla wszystkich mieszkańców kraju. Gdyby ją każdy uważnie przeczytał i do rad i do wskazówek w niej zawartych się zastosował, co, nawiasem mówiąc, żadnej nie sprawiłoby nikomu trudności, to liczba pożarów w naszym kraju i nieszczęśliwych wypadków z powodu nieostrożnego obchodzenia się z ogniem, spadłaby co najmniej do czwartej części. Pozostałyby bowiem tylko pożary, powstałe od uderzenia pioruna i od zbrodniczych podpaleń. Autor wymienia najpierw przyczyny pożarów, których naliczył aż 29, a następnie podaje doskonałe przestrogi, jak należy się obchodzić ze światłem i z ogniem; jak powinno się być przezornym — zwłaszcza po wsiach — przy paleniu papierosów i cygar, i porzucaniu niedopałków z nich, oraz tlejących jeszcze zapałek; jakie ostrożności należy zachować, gdy się używa maszynek spirytusowych lub naftowych, przy przyrządzaniu masy do podłóg z terpentyny, przy czyszczeniu odzieży benzyną, rozniecaniu ognia pod blachą itd. Mamy tu aż 42 bardzo trafnych, rozumnych przestróg, jak się powinno zachowywać z ogniem i światłem po domach, kościołach, kopalniach, w lasach itd. Broszurka ta powinna być rozpowszechniona zwłaszcza po wsiach i małych miasteczkach, gdzie najczęściej wybuchają pożary. Liczba ich stanowczo da się bardzo zmniejszyć, jeżeli najszersze warstwy ludności zostaną pouczone i przekonane o tem, że daleko łatwiej jest zapobiegać pożarom, aniżeli gasić i ratować, i że każdy powinien się poczuwać do obowiązku ostrożności, ażeby nie stać się sprawcą nieszczęścia, któreby mogło dotknąć jego samego, jego rodzinę, jego pracodawców lub sąsiadów, a nawet całą gminę.

Z dziejów marki pocztowej. Pierwszemi markami rosyjskiemi, wydanemi przeszło pół wieku temu — w roku 1857 — były marki po 10, 20 i 30 kopiejek. Marki po 1 i 3 kop. wydane zostały w r. 1883, a kartki pocztowe w r. 1872. Wszystkie wymienione marki typu pierwotnego należą w czasach obecnych do ogromnych rzadkości. Tak np. marka za 6 kop., wydana w 1864 roku, bywa dzisiaj ceniona przez zbieraczy na 50 rubli za sztukę. W r. 1884 wydano te marki, które do niedawna jeszcze były w obiegu. Dopiero cztery lata temu zarząd pocztowy rosyjski widział się zmuszonym do wydania marek nowego typu, wobec masowych podrabiań i wywabiania stempli z marek już użytych. Nowe marki drukowane są w ten sposób, iż przy wywabianiu farby stampilowej właściwa barwa marki złazi, skut-

kiem czego ponowne użycie takiej marki zostało uniemożliwione. Najdroższa marka rosyjska kosztuje 7 rubli. Najdroższą zaś marką na świecie jest marka Stanów Zjednoczonych północno amerykańskich za 60 dolarów (około 300 koron). Marki pocztowe ukazały się najpierw w Anglii w r. 1840, a kartki pocztowe w Austryi w r. 1869.

Jubileusz parasola. Wobec całego szeregu rozmaitych jubileuszów zapomniano o tem, że właśnie na rok bieżący przypada jubileusz 200 letniego istnienia tak potrzebnego i tak dzisiaj, zwłaszcza podczas deszczowego lata, niezbędnego wprost przedmiotu, jak parasol. Tymczasem parasol jest w tym roku jubilatem, bo właśnie 200 lat temu, d. 12 sierpnia 1712 roku, pojawił się pierwszy raz na ulicach Londynu. Człowiekiem, który się odważył wyjść z nim na ulice angielskiej stolicy, był Jonas Honvay. A w owych czasach było to rzeczywiście odwagą, bo usiłowanie uchronienia się przed deszczem, względnie przed zmoknięciem, uważano za dowód tchórzostwa, a na ulicach nie szczędzono takiemu »tchórzowi« obelg, wyzwisk i czynnej zniewagi. Doświadczył tego na sobie i Jonas Honvay. Parasol jego nie był zbyt podobny do dzisiejszych. Ważył dziesięć funtów; pokryty był ciężkiem płótnem naoliwionem. Było wprawdzie co dźwigać, ale Honvay był uparty. Wolał dźwigać parasol, niż narażać się na przemoknięcie. Więc chodził z parasolem, choć przez dłuższy czas był z tego powodu przedmiotem pośmiewiska. Honvay jednak znajdował naśladowców, a gdy umierał (1786), miał przynajmniej tę pociechę, iż używanie parasola przeszło już poza granice Anglii i rozszerzało się po całej Europie.

Nową ustawę wojskową, tudzież ustawę o obronie krajowej (obie z 5 lipca 1912) przetłumaczył na język polski i drukiem wydał p. Sylwester Czarnecki, urzędnik Magistratu lwowskiego. Ponieważ pobór tegoroczny odbędzie się na podstawie nowych ustaw, polskie wydanie tychże pojawiło się w sam czas i niewątpliwie znajdzie chętnych nabywców w kołach interesowanych. Broszurka p. Czarneckiego jest do nabycia we wszystkich księgarniach. Cena z przesyłką za egz. broszur. 1·25 K., w oprawie 1·80 K.

Największe miasta w świecie. W Europie jest obecnie 30 miast o ludności pół miliona ludności. Pierwsze miejsce zajmuje naturalnie Londyn z 8,252.963 mieszkańcami, a więc mało co mniej niż ludność całej Galicyi. Sławę drugiego miasta w Europie zachował dotychczas Paryż, licząc 2,888.000 mieszkańców. Na trzeciem miejscu stoi Berlin z 2,084.000 mieszkańcami. Czwarte miejsce bezsprzecznie należy się Wiedniowi, który liczy 2,065.000 mieszkańców. Potem następują obie stolice Rosyi t. j. Petersburg 1,908.000 i Moskwa 1 617.000. Siódme miejsce zajmuje Hamburg z liczbą ludności 957.000. Konstantynopol ma 943.000 ludności, liczy zaś wraz z azyatyckiemi przyległemi miejscowościami 1,107.000. Następnie przychodzą dwa miasta, ktore wnet staną się milionowemi — Budapeszt, który w r. 1910 liczył 880.000 i Warszawa, która w tymże czasie miała 856.000 mieszkańców.

Największemi miastami w Ameryce są: New York 4.767.000, Chicago 2,185.009, Filadelfia 1,540.000, Buenos Aires 1,400.000, Rio de Janeiro 900.000, St. Louis 687.000. Niezbyt pewne daty posiadamy co do miast azyatyckich. Największem miastem w Azyi jest bezwątpienia Tokio, stolica Japonii z 2,186.000 mieszkańcami. Drugie miejsce zajmują Osaka w Japonii, Kalkuta w Indyach 1,239.000. Następnie wymienić trzeba kilka miast chińskich, między nimi Peking 683.000, którego ludność dawniej niesłusznie uważano za o wiele liczniejszą. W Afryce największem miastem jest Kairo 680.000 mieszkańców, w Australi zaś Sydney 606.000

Wzrost miast następuje tak szybko, że za kilka lat liczba miast półmilionowych niezawodnie się podwoi.

Powszechne zepsucie. Do pewnej restauracyi w Budapeszcie przychodził co dnia na wieczerzę pewien stary jegomość, który często rozwodził się szeroko o powszechnem zepsuciu, szczególnie młodzieży. Restaurator raz zażartował sobie z niego w zabawny sposób. Gdy jegomość żalił się przed nim, że podano mu jaja zepsute, restaurator odrzekł wzruszając ramionami: Nic dziwnego, panie dobrodzieju... Teraz wogóle na świecie jest takie zepsucie, że nawet kury zepsute jaja niosą.

Odpowiedzi Redakcyi.

Redakcya nie przyjmuje listów nieopłaconych i poczta odsyła je z powrotem.

PP.: Władysław Sioło w K.: »Z sierocej doli« otrzymaliśmy — dziękujemy. Termin rozwiazania zagadek zawsze trwa tydzień. W poprzednich numerach rzeczywiście zaszły pomyłki. — St. Czaja w Szcz.: Nadesłane utwory nie nadają się do druku. W wierszu brak rymu i rytmu a i treść wiele pozostawia do życzenia. — Kazimierz Robaczyński w K.: Artykuł niech Pan nadeśle a zobaczymy, czy nada się do druku. — Antoni Smaga w L.: Napisał Pan niby coś, niby nic i już się Panu zdaje, że to wiersz. Aby pisać wiersze, trzeba mieć talent bo bez talentu szkoda papieru i atramentu. — Jan Guzik w S.: Numera od początku roku mamy, ale trzeba i od początku roku pieniądze przysłać. — Jan Klicki w M.: Książki wydane przez Macierz polską a ogłaszane w »Roli« dostanie Pan w każdej księgarni. — Jan Paja w Z.: Nawozy z Syndykatu rolniczego są rzeczywiście najlepsze. — Karol Powroźniak w S.: Utwory nadeszły, gdy numer był już na ukończeniu, przeto brakło czasu do przeczytania, aby w tym numerze odpowiedzieć, czy dobre. Odpowiemy później. — Józef Grania w D. B.: Nie nadeszły.

Potwierdzenia prenumeraty.

PP.: Jakób Gałek z H. 4·90 K. — Franciszek Sęp z R. 4·50 K. — Helena Zając z P. 2 K. — Piotr Kłak z K. 1 K. — Franc. Zadora z B. 2. K. — Franciszek Duch z O. 2 K. — Michał Kosowski z P. 1 K. — Stanisław Marszałek z B. 2 K. — Józef Szlaga z Ł. 1 K. — Karol Styrna z S. 1 K.

Ceny zboża na targu Kleparskim w Krakowie w d. 3 września

Pszenica	Kor.	10·80	do	11·15	za 50 kg.
Żyto	„	9·25	„	9·95	„
Jęczmień	„	8.75	„	9·50	„
Owies	„	9·—	„	9·40	„
Otręby pszenne	„	6·65	„	6·75	„
Otręby żytnie	„	6·40	„	6·60	„

Ceny bydła na targowicy krakowskiej w dniu 3 września:

Buhaje	Kor.	210	do	300	za sztukę
Woły	„	270	„	475	„
Krowy	„	160	„	320	„
Jałówki	„	100	„	220	„
Cielęta	„	38	„	72	„
Owce i kozy	„	19	„	30	„
Świnie bita waga)	„	170	„	190	za 50 kg.

Za zmianę adresu należy się 40 halerzy.

Zagadki do nagrody.

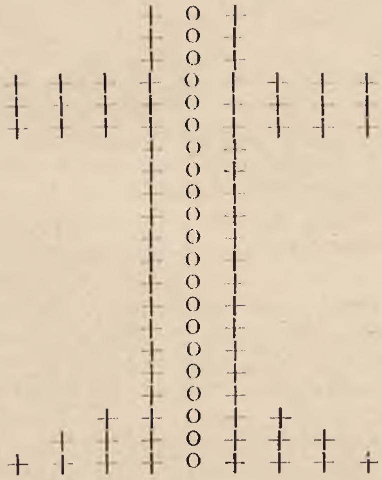
1. SZARADA.

(Ułożył Ludwik Cholewa).

Pierwsze i drugie to nazwa godziny,
Drugie i trzecie przyjacielskie czyny,
Wszystko zaś razem nazwa wiersza tego,
Któ y odgadnąć nie jest nic trudnego.

2. LOGOGRYF.

(Ułożył Ludwik Cholewa).



Znaczenie wyrazów: 1) Owad. 2) Inaczej istnienie. 3) Liczba. 4) Imię mę kie. 5) Inaczej patnik. 6) Miasteczko wschodn. Galicyi. 7) Ptak. 8) Wzniosły wiersz. 9) Zaimek. 10) Roślina. 11) Owad. 12) Napój szkodliwy. 13) Inaczej szlachetny. 14) Ptak. 15) Rzeka w Niemczech 16) Imie żeńskie. 17) Ryba. 18) Krzak kwitnacy. 19) Naród. 20) Tuman kurzu. 21) Imię meskie.

W miejsca krzyżyków i kółek powstawiać odpowiednie wyrazy, aby rząd środkowy z kółek utworzył znane polskie przysłowie.

3. SZARADA.

(Ułożył Ludwik Cholewa).

Trzecie pierwsze, po studencku bicie,
Drugie trzecie — wszyscy przeci- znacie.
Całość, coś najgorszego w świecie.

4. SZARADA.

Pierwsze zwierzę, które już nie żyje,
Zamieszkiwało także lackie knieje,
Drugie — to dawny na Węgrzech urząd,
A całość, ongi muzyczny przyrząd.

5. SZARADA.

(Ułożył Ludwik Cholewa).

Pierwsze drugie, ptak dosyć duży,
Gdy człowiek śpi, on wtenczas płuży,
Drugie trzecie, gdy się rozlewa
Wszystko niszczy, nic nie zachowa.
Całość to rzeka państwa naszego
Granica, za króla Chrobrego.

6. ŁAMIGŁÓWKA rachunkowa.

(Ułożył Ludwik Cholewa).

Dwóch pastuchów pasło dwa stada owiec; jeden mówi do drugiego: daj mi jedną owcę a będę miał trzy razy więcej; na to drugi odpowiada: daj mi ty raczej jedną a będziemy mieć równo.

Ile miał owiec pierwszy, a ile drugi?

* * *

Za dobre rozwiązanie wszystkich zagadek przeznaczamy do wylosowania, jak zwykle, dwie oprawne książki.

* * *

Rozwiązania może nadsyłać każdy, nagrodę może wylosować tylko prenumerator *Roli*. Termin do 14 września 1912 r. Adres: **Redakcya *Roli*, Kraków, ulica św. Tomasza l. 32.**

Znaczenie zagadek z numeru 33 »Roli«: 1. Trójkąt magiczny: **Lizbona**, 1. Zagadka: **Ława, sława**, 3. Zagadka: **Mus, sum**, 4. Szarada: **Czekolada**, 5. Przestawianka: **Oszczędnością i pracą ludzie się bogacą**, 6. Tajemniczy bilet: **Niederlandy**, 7. Szarada: **Kapitol.**

W oznaczonym czasie dobre rozwiązania nadesłali PP.: P. Koniorczyk z S. W., Jan Bąbaś z O., Agata Domin z H., Bartłomiej Rosiek z B., H. Łukawski z J., Karol Baron z P., Józef Kołatek z S., Adam Warchoł z Z., A. Solkowska z K., Michał Bik z M., Janina Midowicz z S., Józefa Hirszberg z K., Antonina Barnasiówna z M., Franciszek Stańczyk z Z., Jaś Pasek Błotnicki z D., Marya Radlmesserówna z S., Adela Bezokówna z K. M., Wincenty Nikiel z K., Wincenty Flis z L., Koło Macierzy szkol. z St., Franc. Teper z M. K., Józef Adamczyk z W. S., Walenty Pasierb z Cz. (wierszem), A Tomana z P., Jan Małkowicz z G., Br. Sokulski z P., Ks. Jan Koza z S., Adam Zieliński z M., Ludmiła Dobrzańska z W., Józef Maziarz, Wojciech Lubas z G.

Pierwszą nagrodę p. t. ***Przędza*** wylosował **p. Michał Bik** z M., zaś drugą p. t. ***Na włóczędze*** **p. Andrzej Tomana** z P.

Wydawca: Stanisław Kopernicki. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara
Drukarnia „Czasu" w Krakowie pod zarządem Aleksandra Świerzyńskiego.